

Śladami
Czarnego Janka

Bitwa
pod Lenino

Bitwa
pod Wojniczem

poszukiwania

Nr 09/2017 (36) wrzesień 2017
www.poszukiwania.pl

POSZUKIWANIA
ŻOŁNIERSKIEGO SKARBU

Redaktor naczelny:

Rafał Kruk
kroku@poszukiwania.pl

Zespół redakcyjny:

Weteryna
Mariusz Bąk
Marek Kulig
Niuniek
Tom
Robert Winkler

Współpraca:

Yedyny
Andrzej Szutowicz

**Zdjęcie na okładce
i zdjęcia w artykułach,
o ile nie zaznaczono inaczej:**

archiwum Portalu
Poszukiwania.pl

Reklama i Marketing:

redakcja@poszukiwania.pl

Redakcja:

redakcja@poszukiwania.pl

**Reprodukcja i przedruk
wyłącznie za zgodą autora.
Gazeta działa na zasadach
dziennikarstwa obywatel-
skiego otwierając swoje łamy
dla każdego autora.**

**Redakcja zastrzega sobie
prawo do redagowania
i skracania dostarczonych
tekstów.**

**Redakcja nie ponosi
odpowiedzialności za
treść reklam i artykułów
sponsorowanych.**

SPIS TREŚCI

4	Poszukiwania żołnierskiego skarbu	40	Amunicja strzelecka. Wielka Brytania cz.2
8	Weekendowe poszukiwania pod Jelenią Górą	44	Wystawa specjalna „Rewolucja – 50 lat NSU Ro 80”
11	Ostrzyca – w poszukiwaniu śladów Czarnego Janka	47	Snoppa M1 – inteligentny gimbal
14	Średniowieczny kurhan z Puszczy Białostockiej	48	Bitwa pod Lenino
16	Odkrycie trzeciej przeprawy mostowej z końca XIII w.	51	Bitwa pod Wojniczem
19	Zamek Grodno	53	Bogusław Radziwiłł w niewoli
20	Odkrycie monumentalnej rzymskiej zbrojowni w Bułgarii	59	Elekcja Augusta III Sasa
22	Skolioza u kopalnego kręgowca	61	Józef Kopeć – śladami Beniowskiego na Kamczatce
24	„Żółty Lew” dalej poszukiwany	68	Żydzi w Królestwie Polskim za Kazimierza Wielkiego
26	Park Archeologiczny w pobliżu jaskini Obłazowej	72	Układ w Kiejdanach
28	Unikatowe pismo z Wyspy Wielkanocnej	74	Zawieszenie broni w wojnie polsko- bolszewickiej
31	W poszukiwaniu śladów po Celtach	76	Mikołaj Rej
33	Monety z oblężenia Gdańska	79	Tyrolska podróż w czasie
35	Fikcyjna postać z komiksów prawdziwą żyłą złota	82	Toyota Land Cruiser FJ45
37	Muzeum Farmacji		

Poszukiwania żołnierskiego skarbu



Letni poranek obudził mnie pod namiotem. Rozpoczął się kolejny dzień poszukiwań i wyjaśniania lokalnych przekazów o ukrytym skarbie.

Przez ostatni tydzień przeszukałem „pewny” teren, jak o polu za lasem opowiadali miejscowi. Nie licząc kilku monet, łusek od niezliczonej ilości gwoździ nie przybliżyłem się ani o krok do zakopanego skarbu. Dlatego też, od dzisiaj postanowiłem podejść do poszukiwań inaczej, bardziej „fachowo”.

W pierwszej kolejności postanowiłem spisać miejscową legendę o ukrytym skarbie. Następnie analizując zapis wyłuskać elementy stałe, niezmiennie na przestrzeni dziesiątek lat. Oczywiście dobrze byłoby porównać ze zdarzeniami historycznymi z tamtego okresu,

jednak brak było materiałów źródłowych pod ręką.

Spisałem legendę, która brzmiała mniej więcej tak:

„Po przegranej bitwie niedobitki wojsk rosyjskich uciekały kierując się na miejscowość Z. Do naszej wsi również z miejscowości Ł. drogą na Z. podążała trzyosobowa grupka wojaków. Niestety dogonił ich wrogi pościg, z którym wdali się w walkę. Jeden z żołnierzy, z ciężkimi raną, odłączył się od grupy i w pobliżu drogi na Ł. zakopał skrzynkę z kasą. Wybrane miejsce zaznaczył wbijając w rosnącą nieopodal choinę bagnet, a następnie udał się lasem do naszej wsi. Jego dwaj kopani zginęli w potyczce, a jego dobrzy ludzie ukryli i pielęgowali. Niestety z powodu licznych ran coraz bardziej

podupadał na zdrowiu. Pewnego razu wezwał do siebie gospodarza, u którego znalazł schronienie i zdradził mu tajemnicę ukrytej skrzynki. Zobowiązał go przy tym aby sam jej nie wykopywał, a jedynie wskazane miejsce przekazał wojskom rosyjskim. Niedługo potem żołnierz zmarł. Gospodarz wskazane miejsce doglądał, a trafiał na niej dzięki tkwiącemu w choinie bagnetowi.

Lata mijały a po zakopany skarb nikt się nie zgłaszał. Stary już gospodarz postanowił przekazać informację swojemu synowi. Jednak gdy ten chciał znaleźć opisane miejsce okazało się, że choina z wbitym bagnetem została ścięta. Próżno szukał przez całe lata skarbu. Nie znalazł go i do tej pory leży zakopany w miejscu gdzie niegdyś rosła choina z bagnetem.”

Z całej legendy wyłuskałem kilka elementów, które przyjąłem za pewnik. Uciekający żołnierze ukryli coś przy drodze z Ł. do M. Pomimo prowadzonych przez mieszkańców poszukiwań nie udało się niczego odnaleźć.



Niestety w chwili obecnej elementy te nie przybliżyły mnie nawet na krok do odkrycia tajemnicy. Spędziłem pół dnia nad mapą starając się zrozumieć w jaki sposób mogli kierować się żołnierze na M. Według relacji miejscowej

starszyny przed wojną szukano za ostatnią stodołą, która potem wraz z połową wsi spłonęła w wielkim pożarze. Naniósłem więc na mapę nieistniejące zabudowania według relacji miejscowych i dostrzegłem pewien zadziwiający szczegół. Otóż według uzyskanych informacji budynki stały dokładnie przy aktualnej drodze z M na Ł. A przecież żołnierz nie zakopywałby skarbu tak blisko zabudowań narażając się na to, że ktoś z okna dojrzy jego działania. A więc cała sprawa musiała się wydarzyć dalej poza wsią. Ale dalej były już tylko pola !!. W takim razie gdzie została ukryta skrzynka? W jednej chwili pojawiło się zbyt wiele niewiadomych. Zostawiając swój skromny biwak wsiadłem w najbliższy PKS i udałem się do domu po stare mapy tego rejonu.

I tak jak przewidywałem, po porównaniu starych map z nowymi pojawiła się nowa nadzieja na odnalezienie skarbu. Otóż według posiadanej mapy aktualna droga na Ł. nie jest drogą używaną w interesującym mnie okresie!! Stara droga szła z M łukiem na Ż. i na łuku odbijała na Ł. Żołnierze złapani w tamtym rejonie musieli się bronić z dala od wszelkich zabudowań, a co za tym idzie mieli też łatwiejszą możliwość ukrycia skrzynki.

Pełen nadziei wróciłem rano z powrotem do M. Obozowisko zastałem w stanie nienaruszonym co ucieszyło moją duszę. Przez kilkanaście lat jeżdżenia w to miejsce tylko raz zdarzyła się kradzież w namiocie. W miejscowym sklepie zaopatrzyłem się w prowiant i wyruszyłem na podbój nowego terenu. W duchu liczyłem, że po dojściu w interesujący rejon da się zauważyć polanę bądź młodsze drzewa, które mogłyby znajdować się w miejscu ścięcia choiny. Niestety las był wszędzie podobny. Postanowiłem zatem zacząć szukać etapami wzdłuż drogi, stopniowo wchodząc w las. Pierwszy dzień nie przyniósł rezultatu. Zmęczony, z obolałymi nogami wróciłem do obozu i od razu zapadłem w sen. Drugi dzień poszukiwań również nie wniósł nic nowego. W



trzeci dzień już z samego rana uśmiechnęło się do mnie szczęście. Po zaledwie godzinie poszukiwań usłyszałem przyjemny dla ucha sygnał. Delikatnie i z pełnym namaszczeniem wbiłem w ziemię saperkę i wydobyłem monetę. Oczyszcziłem ją i już wiedziałem, że jestem na tropie fascynującej przygody. Moneta okazała się srebrnymi 10 kopiejkami. Z nowym zapalem wróciłem do poszukiwań. Kolejna moneta pojawiła się nie dalej niż 10 m dalej. Do końca dnia udało mi się wydobyć 10 srebrnych monet. Jednak ani śladu skrzynki. Nie chcąc zgubić nazajutrz tropu rozbiłem prowizoryczny biwak w miejscu odnalezienia monet. Praktycznie nieprzespana noc z powodu wizji odnalezienia wielkiego skarbu wygnała mnie na poszukiwania z pierwszymi promieniami słońca.

Przez następne dwa dni chodziłem po lesie głodny mając w plecaku jedynie resztki wody. Wciągu tych dwóch dni udało mi się odnaleźć jeszcze 4 kolejne monety. Od śmierci głodowej uratował mnie telefon od żony, która delikatnie mówiąc kazała wracać i zabrać się do jakiegś

roboty. Tak więc bogatszy o kilkanaście monet wracałem do domu wiedząc, że odnalezione przeze mnie miejsce ma coś wspólnego z usłyszana we wsi legendą.

Po kilku dniach pobytu w domu naszły mnie następujące refleksje. Odnalezione miejsce z monetami znajdowało się w środku lasu, kilkadziesiąt metrów od drogi. Na miejscu prócz monet nie odnalazłem nic innego mogącego świadczyć o potyczce czy jakiegokolwiek walce. Być może w tamtym miejscu uciekający żołnierz przewrócił się niosąc skrzynkę. Rozsypane monety zbierał pośpiesznie i niezbyt starannie gubiąc kilkanaście sztuk.

Już planuje kolejny urlop, który tak jak poprzedni z pewnością spędzę w lesie na poszukiwaniu ukrytego skarbu. Jeżeli nie uda mi się go odnaleźć to chociaż po jakimś czasie we wsi pojawi się nowa legenda o szalonym poszukiwaczu ukrytego skarbu, który nigdy nie wrócił z lasu tylko błąka się po nim i straszy grzybiarzy podkradając im baterie do wykrywacza.

Majster Bieda

Foto: Pexels

NOWOŚĆ



Prawdopodobnie najlepszy wykrywacz na rynku!

- Najlepsze parametry i osiągi
- Uniwersalny - do każdego poszukiwań
- Wodoszczelny do 3m
- Konkurencyjna cena



Treasure Master

POLECAMY TAKŻE:



Treasure Pro

ul. Radna 6, 00-341 Warszawa tel./fax: 22 829 84 80 viking@viking.waw.pl

www.viking.waw.pl

NAJWIĘKSZY WYBÓR OD 1998 R.

Weekendowe poszukiwania pod Jelenią Górą



Jak zapewne każdy poszukiwacz wie, w okolicy swojego miejsca zamieszkania szuka się najrządziej. W związku z tym chciałbym podzielić się swoimi spostrzeżeniami na temat eksploracji w okolicach niektórych miejscowości. Z uwagi na ogrom informacji na temat wydarzeń z okresu II Wojny Światowej pominę ten okres w swoich artykułach.

Miastem, od którego rozpocznę cykl jest Jelenia Góra. O jego historii dowiedzie się ze strony internetowej miasta, bądź z Leksykonu

Miejscowości Historycznych na Wortalu. Ja przejdę od razu do sedna sprawy.

Dawne to były czasy, kiedy w Sudetach zaczęto stawiać wieże widokowe. Były one atrakcjami turystycznymi i jako takie odwiedzane były przez setki, a nawet tysiące osób rocznie. Każde sudeckie miasto starało się o taką atrakcję turystyczną, więc i Jelenia Góra nie chciała być gorsza.

Pierwszą wieżę postawioną w okolicach Jeleniej Góry była wieża widokowa w Maciejowej, którą ustawiono na wzniesieniu na wysokości 417 m n.p.m. Wieża stanęła w parku pałacowym Emila Bechera w roku 1875. Wieża wykonana została z kamienia oraz czerwonej cegły i sięgała 24 m. Dodatkowo zwieńczeniem wieży był maszt wysoki na 6 m, na którym powiewała flaga państwowa. Aby dostać się do niej i móc podziwiać z jej szczytu widoki należało zgłosić się do stróża, który miał do niej klucze. Dzisiaj z wieży pozostały ruiny, a jej świetność pamiętają jedynie osoby znające jej historię. Traficie do niej łatwo, ponieważ jej resztki widać z drogi biegnącej przez Maciejową.

Z Maciejowej swoje auta skierujcie w kierunku Cieplic. Tam na górze Sołtysiej odnajdziecie drugi interesujący nas obiekt. Wieża w Cieplicach została wybudowana w 1808 r. jako obiekt drewniany koło restauracji. Dopiero w 1899 r. staraniem niejakiego Schmidt'a wzniesiono wieżę murowaną o wysokości 16 m. Była to pięciokondygnacyjna wieża, z dwiema dolnymi kondygnacjami szerszymi od pozostałych. Ostatnia kondygnacja posiadała taras widokowy.

kruku

foto: Pexels

Wieża wygląda jeszcze gorzej od wieży w Maciejowej, a z tarasu pozostał tylko szkielet.

Ostatnim omawianym obiektem jest wieża stojąca na wzgórzu Bolesława Krzywoustego. Otwarcie wieży nastąpiło w 1911 r., a wybudowano ją z różnych składem, zbiórek oraz wpłat nie tylko mieszkańców Jeleniej Góry. Przy wejściu do wieży znajdowała się tabliczka z podobizną cesarza, co nadało wieży przydomek „Cesarskiej”. Obecnie jest to najlepiej zachowany obiekt tego typu w okolicy.

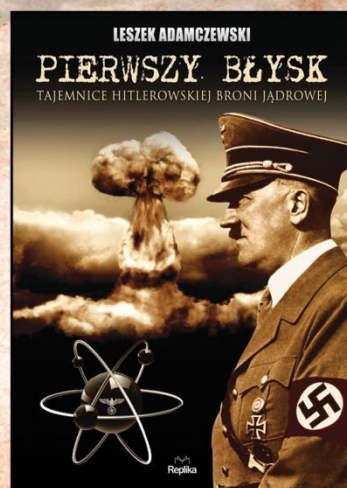
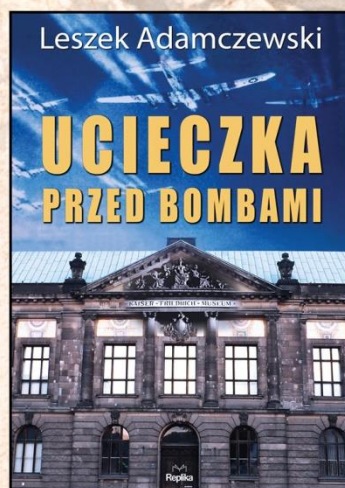
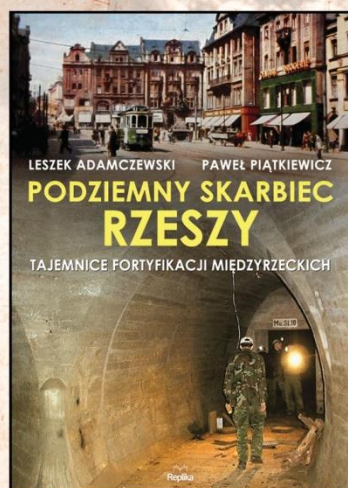
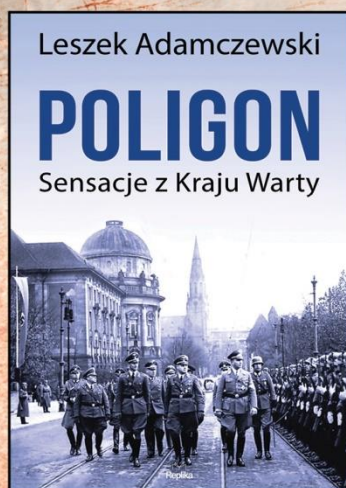
Jako eksploratorzy i poszukiwacze macie w takich miejscach wspaniałe pole do popisu. Wieże te w latach swojej świetności przyciągały tłumy spacerowiczów i turystów. A jak wiadomo tam gdzie przewijają się tłumy ludzi zawsze zostanie coś zgubione, a to monety, a to może jakiś element biżuterii lub może jeszcze coś zgoła innego. Oczywiście należy się również przygotować na setki kapsli po piwie i mocniejszych trunkach, gdyż obiekty te przyciągają „miłośników historii widzianej inaczej”.

inaczej gdy już odwiedzicie opisane wieże ze swoimi wykrywaczami, wyłączcie je na chwilę i pomyślcie nad tym dlaczego konserwator zabytków goni Was, a nie zajmuje się takimi wspaniałymi obiektami. Dla formalności przypominam, że na prowadzenie poszukiwań wymagane są odpowiednie zezwolenia.

SKARBY, ZAGADKI, MROCZNE TAJEMNICE HISTORII



WKRÓTCE



Ostrzyca – w poszukiwaniu śladów Czarnego Janka



Piętnastego czerwca 1953r. na dziedzińcu wrocławskiego więzienia został rozstrzelany 28 letni Jan Bogdziewicz, znany głównie jako Czarny Janek - legendarny herszt bandy zamieszkującej po II Wojnie Światowej stożek wygasłego wulkanu - Ostrzycę Proboszczowicką. Człowiek zginął, jednak legenda trwa nadal.

Kim był Czarny Janek? Najlepiej wiedzą najstarsi mieszkańcy wiosek położonych wokół Śląskiej Fudżijamy. Od nich można usłyszeć wiele opowieści na temat burzliwego życia tego człowieka. Podobno zakradał się podziemnym tunelem do Twardocic, gdzie rabował gospodarstwa. Są także doniesienia o napadach na "Ge-esy" (to takie komunistyczne sklepy z wszystkim czyli niczym), podobno nawet zabił swą kochankę która była w ciąży. Wszystkie te straszne opowieści mają także drugą stronę medalu. Być może ten człowiek był ofiarą stalinowskiego systemu, członkiem ruchu oporu, AK-owcem, a potem więźniem politycznym. Fakt faktem, ówczesny reżim ostro potępił jego działania podejmując obławę na Czarnego Janka z użyciem wielu milicjantów. Jednak zrabowanych fantów nigdy nie odnaleziono. Podobno do dziś spoczywają pod ziemią gdzieś na zboczach Ostrzycy.

Beznadziejna aura jaka panowała w sobotę 27 marca 2004 roku wręcz wykluczała jakiekolwiek spacer. Dla mnie i Dodka była jedynie powodem założenia grubszych, zimowych ubrań. Tuż po godzinie 10.00 maszerowaliśmy już w kierunku Jerzmanic, nie znając celu wędrowki. Przekraczając Kaczawę w pobliżu

Jerzmanickiego poprawczaka przyglądamy się podmytym przez liczne w ostatnich latach powodzie torom. Widok trochę surrealistyczny, bo szyny praktycznie wiszą w powietrzu ponad korytem rzeki. Tymi torami nie kursuje żaden pociąg już od kilku lat. Teraz jest to doskonały szlak wycieczkowy, którym się kierujemy. Po drodze wybraliśmy dwie opcje: Sokołowskie Wzgórza bądź Ostrzyca, z czego w końcu zdecydowaliśmy się na tę drugą. Od tej pory przemieszczamy się praktycznie po linii prostej w kierunku góry, unikając przetartych szlaków i ludzkich domostw. Idąc przez las spotykamy wiele zwierząt, głównie sarny a także jedną kunę. Po leśnej wędrowce wychodzimy na polną drogę, którą idziemy przez Jastrzębnik aż do Proboszczowa. Właściwie to nie jest droga tylko jedno bardzo wąskie i długie bajoro w kształcie drogi. Buty zostały przemoczone, a potem szczelnie obklejone świeżym błotkiem, przez co stały się dwa razy cięższe.

Dochodząc do Proboszczowa ledwo ciągniemy za sobą nasze kończyny. Tuż za wioską, przy drodze na Ostrzycę znajduje się poniemiecki pomnik. Nie napiszę co to za pomnik, ponieważ jacyś wandalie ukradli mu płytę z napisami. W końcu jesteśmy u podnóża. Widok niesamowity, trochę jak z filmu o dinozaurach. Na środku pola stoi sobie wysoki na 200m wulkan (501 m. n.p.m.). Szczęśliwie dla nas już wygasły. Postanawiamy pobuszować trochę na zboczach góry. Buszowanie się opłaciło. Znajdujemy liczne okopy - pozostałości z II Wojny

Światowej. Niemcy w tamtym czasie zrobili sobie tutaj niezły bastion.

Wycięli wiele drzew aby nie przysłaniały linii ognia. Idziemy wyżej. Podczas gdy u podnóża góry zaczynają kwitnąć pierwsze tej wiosny kwiaty, od połowy jej wysokości panuje typowa zima. Blisko szczytu robi się naprawdę niebezpiecznie, ponieważ buty ślizgają się na pokrytych śniegiem głazach bazaltowych. W końcu docieramy do pierwszej skały. Jest ona lekko pochylona, stojąc pod nią ma się wrażenie, że zaraz zwali się na obserwatora. Na jej ścianie odnajdujemy sople, które bardzo ładnie komponują się z bazaltem. Po sesji fotograficznej musimy zejść na ścieżkę 20 m niżej. Okazuje się to nie lada karkołomnym wyczynem, ale obeszło się bez ofiar. Przy ścieżce odnajdujemy ruiny schroniska - gospody wybudowanej w 1839r. Zostało po nim kilka pionowych ścianek oraz gdzieś ukryta w ściółce studnia, której niestety nie znaleźliśmy. W końcu droga na szczyt. Przed nami 445 bazaltowych schodków, które dzięki śnieżnej pokrywie są niezwykle śliskie. Na szczycie jesteśmy trochę wyczerpani, dlatego najpierw posilamy się, potem sesja fotograficzna, dopiero po odpoczynku bierzemy się za podziwianie widoków. Niestety pogoda jest jaka jest. Nad nami, a właściwie wokół nas ciężkie chmury ograniczające widoczność. Jednak nie jest aż tak źle, bo udaje nam się dostrzec oddaloną stąd o około 15 km naszą Złotoryję. Czas zacząć myśleć o drodze powrotnej. Do Złotoryi postanawiamy wrócić całkiem inną trasą niż przyszliśmy. Liczymy także na kolejne ciekawe epizody wycieczki. No i są. Znajdujemy wiosnę! Przy polno - leśnym strumyku rosną sobie drobne, białe - żółte kwiatki. Widok bardzo optymistyczny. Z kolei kilkadziesiąt metrów dalej znajdujemy pojedynczą kępę śnieżycy wiosennej. Widok nieprawdopodobny. Między burymi drzewami i suchymi liśćmi wyrasta sobie zieloniutka roślina z białymi dzwoniczkami. Znowu nie obyło się bez serii zdjęć. Spodobał nam się ten mały strumyczek, dlatego postanawiamy iść wzdłuż jego biegu. Dodek liczy na coś więcej. No i doczekał się. W pobliskich krzakach coś zaszeleściło, zaszurało i wyrwał nam spod nóg dorodny samotny dzik. Niestety był tak szybki, że nie zdążyliśmy go uwiecznić na zdjęciach.

Od tej pory aparaty trzymaliśmy w pogotowiu, jednak oprócz dwóch zajęcy i kilku saren, które oczywiście były za daleko, nie spotkaliśmy innych zwierzaków. Ciężka przed nami przeprawa. Staramy się omijać wioski i iść polami. Za tę zachciankę płacimy słono. Błoto z pól oblepia nam buty, przez co idziemy z kilkukilogramowymi ciężarami na nogach. Cały czas po prostej w kierunku Złotoryi, zostawiając z boku Proboszczów. Za wioską postanawiamy kolejny raz odpocząć. Przerwa w wędrówce nie trwa długo, ponieważ nastająca szarówka mobilizuje nas do szybszego przebijania nogami. Docieramy do Skory, którą pokonujemy przez zwalone w poprzek koryta drzewo.

Teraz już nie musimy iść po błotnistym polu, bo przed nami łąki. Nie cieszymy się długo, bo łąki okazują się być mokradłem. Cóż... buty i tak już dawno przemoknięte. Przed nami znowu rzeczka. Tym razem jest to Czermnica - prawy dopływ Skory płynący od strony Jastrzębnika. Szczęśliwie znowu znajdujemy przevalone drzewo i znowu pokonujemy rzeczkę. Cały czas idąc polami nie zdajemy sobie sprawy, że 60 lat temu, na tych terenach, ponad głowami pracujących ludzi w polu trwała walka. Dowiedziałem się o tym w domu od ojca. Jego matka (czyli moja babcia) pracowała u Niemca. Pracowali też inni Polacy schwytani i wywiezieni na te tereny. Podobno wyglądało to tak: Ostrzycę zajęli Niemcy, a kamieniołom w Pielgrzymce Wojsko Radzieckie. Obydwie góry oddalone są od siebie o kilka kilometrów. Jednak odległość jest na tyle mała, że pozwoliła na wymianę ognia między dwoma wrogimi wojskami. Na polach między dwoma górami pracowali ludzie. Słyszeli tylko gwizdy i widzieli smugi ognia wysoko nad głowami. Gdy w ciemnościach idziemy torami spotykamy ruiny budowli kamieniołomu.

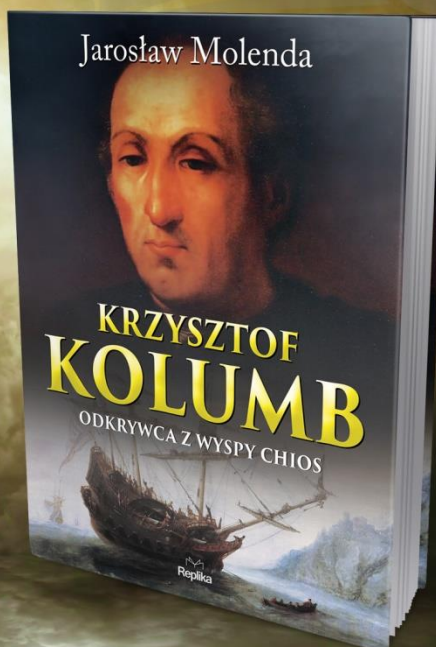
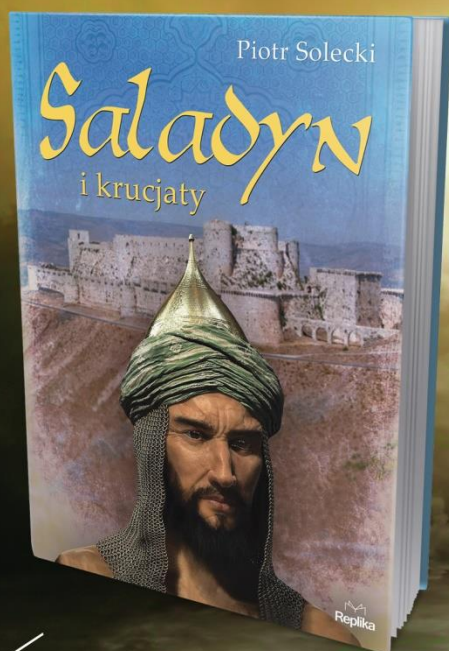
Późna pora oraz wrażenia z całodziennego wędrówki przywołują nam wspomnienia krążących lokalnych legend. Oczami wyobraźni widzimy robotników wywożących urobek z kamieniołomu, ludzi pracujących na polu w czasie walk II Wojny, wreszcie Czarnego Janka siejącego postrach w okolicy, rabującego gospodarstwa. Zastanawiamy się, czy ten

człowiek faktycznie był taki groźny, czy może plotki i legendy zrobiły z niego potwora. Być może był to pewnego rodzaju autsajder, człowiek nie potrafiący odnaleźć się w realiach powojennej PRL, przez co był prześladowany i w końcu stracony. W ciągu naszej wędrówki nie spotkaliśmy śladów bytności Czarnego Janka a tym bardziej ukrytych przez niego łupów. Jedynie nawiedził nas w naszej wyobraźni, co uwieczniliśmy na krótkim humorystycznym filmiku.

Na Ostrzycę wybierzemy się jeszcze nie raz. Być może spotkamy się tam z Wami. Do zobaczenia!

Autor: Betonet

LUDZIE, KTÓRZY ZMIENILI OBRAZ ŚWIATA



Tel. 61 868 25 37, handlowy@replika.eu



Średniowieczny kurhan z Puszczy Białowieskiej



Szkielet kobiety, przy którym znajdowały się paciorki z niebieskiego i zielonego szkła, odkryli archeolodzy wewnątrz kurhanu w Uroczysku Szczekotowo w Puszczy Białowieskiej. Grobowiec zlokalizowano w zeszłym roku dzięki zastosowaniu lotniczego skanowania laserowego.

Oprócz ozdób w kurhanie znajdowały się też fragmenty naczyń ceramicznych. To na ich podstawie archeolodzy oszacowali wiek konstrukcji na XI - XIII w. n.e. W jego pobliżu znaleziono jednak również fragmenty naczyń

wcześniejszego okresu, datowane na okres wpływów rzymskich (czyli sprzed ok. 2 tys. lat).

"Niestety, zarówno część szkieletu, jak i ozdób została zniszczona w wyniku rabunkowego rozkopywania kurhanu, które miało miejsce prawdopodobnie w XIX lub na początku XX wieku" - powiedziała PAP główna koordynatorka badań, dr Joanna Wawrzyniuk z Instytutu Archeologii Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego (IA UKSW) w Warszawie.

Obok badanego przez archeologów kurhanu znajdują się cztery inne, mniejsze kopce, zapewne z tego samego okresu - te konstrukcje również odkryto w zeszłym roku dzięki lotniczemu skanowaniu laserowemu, przez zespół badaczy z Instytutu Archeologii i Etnologii PAN.

Jako ciekawe znalezisko archeolodzy wskazali jamę we wschodniej części kopca, na której dnie znajdował się bruk kamienny. Na nim spoczywały fragmenty potłuczonych naczyń.

"Przypuszczamy, że znaleziska te są pozostałością odprawianych przy grobie obrzędów pogrzebowych" - dodał Roman Szlęzak, współprowadzący badania na tym stanowisku

Na obszarze Rezerwatu przyrodniczo-archeologicznego Szczekotowo archeolodzy znali już wcześniej ślady po dawnej działalności człowieka. Naukowcy wskazują m.in. inne kurhany pochodzące również z okresu



średniowiecza. W ostatnich latach badali je naukowcy z Instytut Archeologii i Etnologii (IAE) PAN w Warszawie.

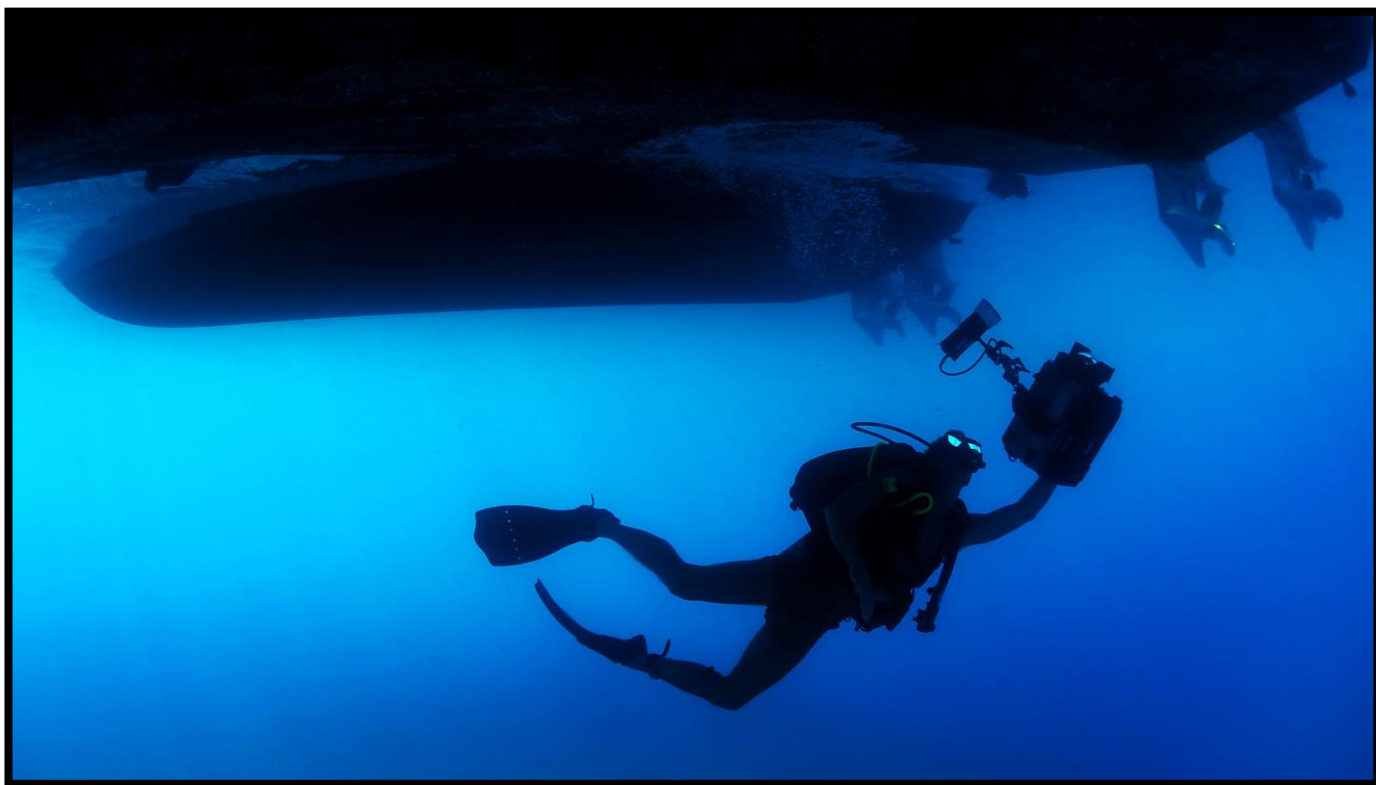
Wykopaliska odbyły się w ramach trzyletniego projektu NCN pt. Dziedzictwo kulturowe i przyrodnicze Puszczy Białowieskiej, realizowanego przez UKSW. Biorą w nich również udział pracownicy IAE PAN w Warszawie oraz studenci archeologii UKSW. Wykopaliska archeologiczne w Uroczysku Szczekotowo będą trwały do połowy września.

PAP - Nauka w Polsce

Serwis Nauka w Polsce - www.naukawpolsce.pap.pl.
Foto: Pexels



Odkrycie trzeciej przeprawy mostowej z końca XIII w. nad jeziorem Lednickim



Zespół archeologów, który prowadził podwodne badania w jeziorze Lednickim, natrafił na pozostałości po trzeciej przeprawie mostowej, prowadzącej z wyspy Ledniczki na zachodni brzeg jeziora. Most pochodzi najprawdopodobniej z końca XIII w.

Jak podkreślono w środę na konferencji prasowej w siedzibie Muzeum Pierwszych Piastów na Lednicy, informacja o trzecim moście na jeziorze, oraz o pozostałościach drewna wydobywanego z tego obszaru znana była wcześniej w większości jedynie z lokalnych przekazów ustnych.

„Tegoroczne badania pozwoliły odkryć nie tylko pozostałości elementów konstrukcyjnych, ale również cenne zabytki. Badania dendrochronologiczne przeprowadzone przez

prof. dr. hab. Tomasza Ważnego z UMK pozwoliły ustalić, że drzewo wykorzystane do budowy tego mostu zostało ścięte parę lat po roku 1293 roku” – zaznaczył dyrektor Muzeum Pierwszych Piastów na Lednicy, prof. dr. hab. Andrzej Marek Wyrwa. Dwa pozostałe mosty na jeziorze Lednickim wybudowane były w latach 963-964.

Jak dodał Wyrwa „tegoroczne badania objęły obszar nie tylko znanych już przepraw mostowych, ale realizowane były również w innych częściach akwenu. W trakcie badań wykonano setki godzin nurkowań, sprawdzono około 15 km linii brzegowej jeziora, realizując tzw. prospekcje podwodne”.

Kierownik Zakładu Archeologii Podwodnej z Instytutu Archeologii Uniwersytetu Mikołaja

Kopernika w Toruniu dr. hab. Andrzej Pydyn podkreślił, że odkrycie trzeciej przeprawy mostowej w jeziorze Lednickim jest największym i najbardziej ekscytującym tegorocznym odkryciem.

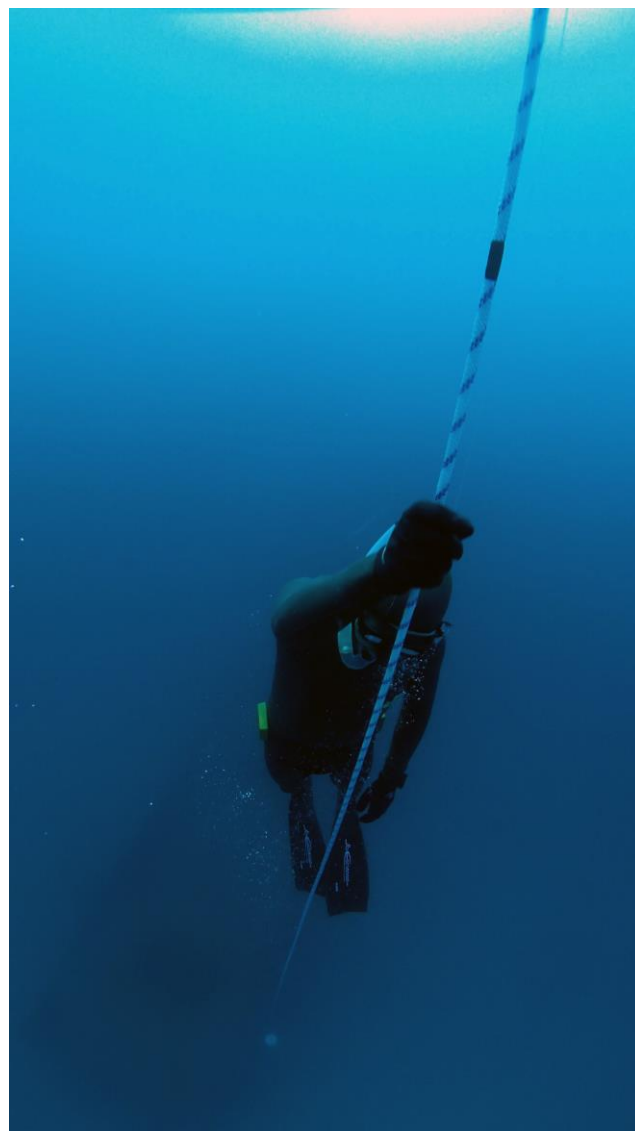
„Ta przeprawa mostowa łączyła stosunkowo niedużą wyspę Lednicką ze stałym lądem od zachodniego brzegu. O przeprawie tej wspominały przekazy ustne i tak naprawdę archeolodzy podwodni szukali jej praktycznie 40 lat”- zaznaczył Pydyn.

Jak mówił, most przez lata był praktycznie niewidoczny. „Odbywające się tam tzw. prospekcje podwodne, gdzie nurkowie schodzili pod wodę, obserwowali, dotykali wierzchnią warstwę mułu - do niczego wcześniej nie doprowadziły. Te poszukiwania były realizowane już właściwie od lat 90. wracano do nich w pierwszej dekadzie XXI, natomiast kompleksowe podejście do tematu, zastosowanie badań nieinwazyjnych, i wykorzystanie doświadczenia archeologów podwodnych pozwoliło na dokonanie tego odkrycia” – stwierdził archeolog.

Stały zespół badawczy, który eksplorował dno jeziora Lednickiego składał się z 5 osób, które przez kilka miesięcy były zaangażowane w projekt. Rotacyjnie przy badaniach uczestniczyły także dodatkowe osoby, w tym absolwenci i studenci archeologii z różnych ośrodków akademickich. W trakcie badań stosowane były nowoczesne metody nieinwazyjne, w tym sonar wielowiązkowy, profiler osadów dennych oraz magnetometr. Zespół nurków sprawdził ponad 250 anomalii widocznych podczas badań nieinwazyjnych.

„Odkrycie trzeciego mostu zmienia nam obraz tego, co się działo tutaj po okresie wczesnopiastowskim. Jak wiemy, oczywiście miejsce to było bardzo ważne na przełomie X i XI wieku, natomiast to, że zbudowano tu kolejną przeprawę mostową pod koniec XII w. wieku świadczyło, że nadal był to ważny ośrodek, może już nie władzy książęcej, królewskiej, ale na pewno władzy kasztelańskiej, czyli systemu jakby organizacji państwa i władzy w tym rejonie Wielkopolski” - dodał.

Podczas badań archeologom udało się także odnaleźć kolejne eksponaty, w tym elementy uzbrojenia, naczyń. W toku prac zlokalizowano kilkanaście potencjalnych podwodnych stanowisk archeologicznych, w tym niektóre zmieniające w sposób znaczący dotychczasową interpretację procesów osadniczych, do jakich dochodziło w rejonie jeziora Lednica.



Pydyn podkreślił, że jezioro Lednickie na pewno nie odkryło jeszcze przed badaczami wszystkich swoich tajemnic. „Badania objęły tylko część jeziora, natomiast te wyniki, które uzyskaliśmy teraz, to są wyniki, które będziemy analizowali przez lata. Wykonanie tych skanowań to kwestia kilku, kilkunastu dni, natomiast dokładna analiza to z pewnością praca na kolejne miesiące i lata. Myślę też, że pojawiające się nowe i udoskonalone techniki badań, zwłaszcza badań nieinwazyjnych będą pozwalały odkrywać nam

coraz więcej tajemnic jeziora Lednickiego” – powiedział Pydyn.

Dyrektor Muzeum Pierwszych Piastów na Lednicy, prof. dr. hab. Andrzej Marek Wyrwa zaznaczył, że odkryty i zlokalizowany w przestrzeni jeziora Lednickiego most „odgrywa niezwykle ważną rolę, ponieważ uzupełnia naszą dotychczasową, dosyć wątplą, wiedzę na temat zagospodarowania tego miejsca już w okresie rozbitcia dzielnicowego na ziemiach polskich”.

„Dotychczas wydawało się, że mamy okres piastowski, ten wczesnopiastowski, który się kończy po ok. 1038-1039 roku i jak gdyby Ostrów, jak wynika ze źródeł pisanych i archeologicznych, traci swoje pierwotne bardzo wielkie znaczenie, ale społeczeństwo i szczególnie te osady, które tutaj istniały funkcjonowały w dalszym ciągu. W związku z tym należało się spodziewać dodatkowych rzeczy” – powiedział Wyrwa.

„W naszym przypadku pierwsze wzmianki o takiej kasztelanii ostrowskiej w źródłach pisanych mamy z 1234 roku, ale tych źródeł jest bardzo mało, i praktycznie one nie istnieją, stąd te wszystkie dane historyczne i archeologiczne, dendrochronologiczne, które mamy – połączwszy je ze sobą - wskazują na to, że właśnie pod koniec XIII w., z początku XIV w. aż po wiek XV ten mały gródek na wyspie Ledniczka był wpleciony w tę wielką część administracji jeszcze państwa piastowskiego” – podkreślił profesor.

Jak mówił, historycy nadal badają, jaka była rola i znaczenie Ledniczki. „Do końca nadal nie wiemy. Są materiały z okresu wczesnego średniowiecza, ale bez dodatkowych, poszerzonych badań trudno powiedzieć. Skoro była, na pewno była wykorzystywana do form obronnych, ale mostów, które łączyłyby ją w

okresie wczesnego średniowiecza jeszcze nie zarejestrowano” – powiedział.

Jak dodał, z tego co mówią archeolodzy podwodni, w jeziorze „znajduje się bardzo wielka warstwa mułu”. „Jeśli będą zezwolenia konserwatorskie, jeśli się przebijemy przez tę warstwę, będziemy widzieli, co się dzieje głębiej, bo ten most, trzeci, prawdopodobnie nie jest ostatnim mostem” – podkreślił.

Podwodne badania archeologiczne w wodach jeziora Lednickiego prowadzone są we współpracy Muzeum Pierwszych Piastów na Lednicy, Stowarzyszenia Naukowego Archeologów Polskich, oddział w Warszawie oraz Zakładu Archeologii Podwodnej z Instytutu Archeologii Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, a ich realizacja odbywa się w ramach projektu „Kolebka Piastów – archeologiczne prospekcje podwodne w rejonie jeziora Lednickiego”. Projekt jest dofinansowany przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Głębokość jeziora Lednickiego sięga 8-12 metrów. Z Ledniczka sąsiaduje wyspa Ostrów Lednicki, która zdaniem wielu historyków - była miejscem chrztu Mieszka I. Stąd pochodzi jedna z największych kolekcji zabytków z początków chrześcijaństwa, z najstarszym w Polsce relikwiarzem - fragmentem krzyża Chrystusa. Niewykluczone, że relikwiarz jest pamiątką z czasu chrztu Mieszka I.

Anna Jowsa (PAP)

Serwis Nauka w Polsce - www.naukawpolsce.pap.pl.

Foto: Pexels



Zamek Grodno

Grodno – jeden z najpiękniejszych i najbardziej tajemniczych zamków Polski. Zamek Grodno w Zagórzu Śląskim cieszy się bardzo długą historią, z którą splecione są niezwykle tajemnice i legendy. Malownicze położenie na szczycie Góry Choina zapewnia widokowi z jego wieży jedną z najpiękniejszych na Dolnym Śląsku panoram na Góry Wałbrzyskie, Sowie i Pogórze Wałbrzyskie. Od wschodu u jego stóp rozpościera się malownicze jezioro, powstałe ze spiętrzenia rzeki Bystrzycy, z drugiej zaś strony wije się droga ze Świdnicy do Walimia, Głuszycy i Wałbrzycha.

Grodno już od ponad dwustu lat przyciąga turystów, jest to bowiem jeden z pierwszych zamków na Śląsku udostępnionych do zwiedzania, a jego mury kryją liczne zagadki i sekrety. Wciąż żywe są wzmianki o zaginionych zamkowych podziemiach i ukrytych gdzieś w murach skarbach, o ukrytym alkoholu i dziełach sztuki zrabowanych podczas II wojny światowej...

Równie liczne są barwne legendy, wyrastające z burzliwych dziejów Grodna, które raz należało do wysokich, dostojnych rodów, a kiedy indziej trafiało pod panowanie rozbójników. Są wśród nich opowieści o niewiernym słudze i Białej Damie, o kamiennym krzyżu, o wiernym psie i o zaginionych lochach.

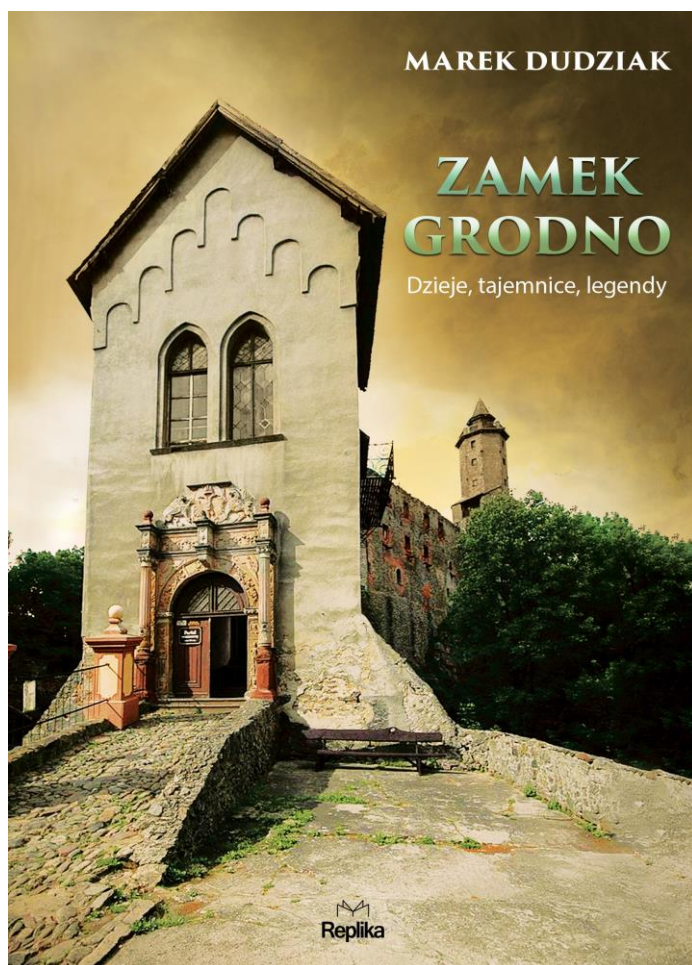
Obecnie, zgodnie z duchem czasu, na zamku odbywają się inscenizacje, festyny i popisy bractw rycerskich. Z roku na rok odwiedza go coraz więcej turystów. Nie doczekał się on wciąż tylko jednego – rzetelnej monografii i przewodnika.

Niniejsza książka, w której skrzętnie zebrano i uporządkowano wiedzę o Grodnie, lukę tę wypełnia. To tym istotniejsze, że za sprawą dziejowych burz wiele wątków oraz fragmentów historii zamku pozostaje nieznanymi, a dostępne informacje są mocno rozproszone po rozmaitych źródłach, a niekiedy również poważnie zniekształcone.

Tym samym Zamek Grodno stanowi znakomitą lekturę, którą wzbogaca mnóstwo zdjęć i grafik. Dzięki temu zainteresuje zarówno tych, którzy Grodno już znają, jak i dopiero zamierzających jego strzeliste mury odwiedzić.

Marek Dudziak

Prawnik, wydawca, podróżnik oraz tropiciel tajemnic historii. Założyciel miesięcznika „Odkrywca”. Autor książek o niezwykłych i zagadkowych budowlach Dolnego Śląska.



Odkrycie monumentalnej rzymskiej zbrojowni w Bułgarii



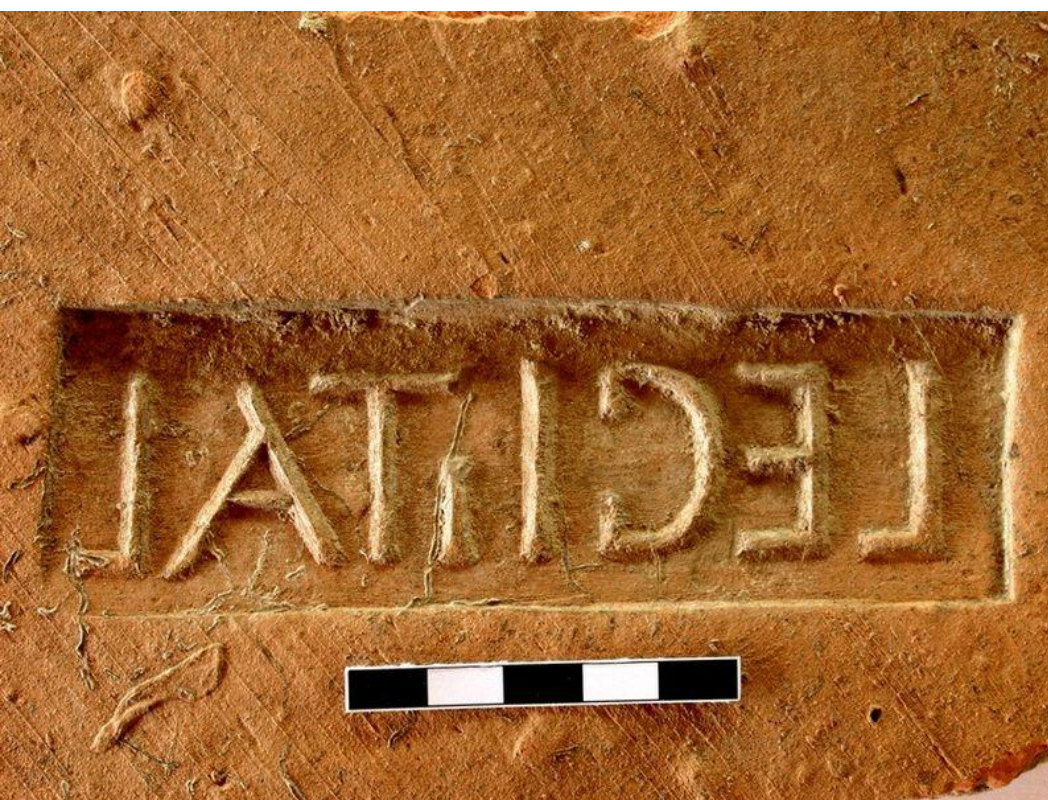
Rzymska zbrojownia sprzed blisko 2 tys. lat odkryta w Novae (Bułgaria) jest najbardziej monumentalnym budynkiem odkrytym dotąd na terenie wszystkich znanych obozów legionowych - uważają jej odkrywcy. Składowano tam m.in. miecze, katapulty, onagry i balisty.

Gdy w 2015 r. archeolodzy po raz pierwszy natknęli się na pozostałości budowli położonej wewnątrz dawnego obozu legionowego należącego do rzymskich żołnierzy w Novae, nie przypuszczali, że pełniła funkcję zbrojowni - arsenału.

"Funkcję tej konstrukcji udało się nam ustalić dopiero po drugim sezonie wykopalisk. Jednak dopiero po zakończeniu tegorocznych prac stwierdziliśmy, że arsenał był olbrzymi - nikt

dotychczas nie miał do czynienia z tak monumentalną budowlą wzniesioną obozie legionowym" - powiedziała PAP dr Elena Klenina, wieloletni członek zespołu naukowo-badawczego, a od tego sezonu, kierownik Międzynarodowej Interdyscyplinarnej Ekspedycji Archeologicznej „Novae” Uniwersytetu im. A. Mickiewicza w Poznaniu. Badania prowadzone są we współpracy z Instytutem Archeologii Bułgarskiej Akademii Nauk.

Po tegorocznych wykopaliskach, które odbyły się w lipcu i w sierpniu, okazało się, że budowla była olbrzymia - zajmowała ok. 1800 m². Wzniesiono ją najwcześniej w 2 poł. II w. Jej podstawę stanowiło sześć monumentalnych filarów ustawionych w dwóch rzędach. Wykonano je z niezwykle precyzyjnie dopasowanych, rustykowanych, sześciobocznych bloków wapiennych. Taka technika budowy znana była w Novae dotychczas wyłącznie w murach obronnych, basztach i bramach miejskich.



Nie tylko kształt budowli przemawia ze jej funkcją. W czasie tegorocznych badań naukowcy odkryli kolejne elementy uzbrojenia rzymskiego w tym sprzączkę z pancerza tzw. lorica segmentata. Wiadomo także, że przechowywano tam również broń miotającą, czyli starożytną artylerię: onagry, balisty, katapulty. Świadczy o tym pośrednio, obecność kamiennych odbojnic

(osłon) przy wszystkich filarach, pozwalających na bezpieczne przemieszczanie machin miotających.

"Najbliższe naszej budowli są zbrojownie hellenistyczne odkryte w Pergamonie, Pireusie i Atenach" - wskazuje naukowiec.

Zdaniem dr. Kleniny unikatowe są nie tylko rozmiary konstrukcji, ale też jej sposób przebudowy na przełomie III/IV wieku – wtedy prawdopodobnie powstało aż dwanaście nowych kamienno-ceglanych filarów o wymiarach 1,60 x 1,80 m każdy. Później wzniesiono też mury zewnętrzne zamykające przestrzeń między wcześniejszymi monumentalnymi filarami. Według naukowców oznacza to, że budowla mogła być dwukondygnacyjna, albo nawet wyższa.

Oprócz funkcji magazynowej w jednej z części budynku produkowano i naprawiano uzbrojenie legionistów - do takich wniosków doszli archeolodzy po wykopaliskach przeprowadzonych w tym roku.

Konstrukcja istniała w tym miejscu co najmniej do przełomu IV/V w., ale pod koniec swojego istnienia zmieniono po raz kolejny jej przeznaczenie - na razie nie wiadomo, jakim celom służyła.

Obecnie w Novae działają dwie polskie misje archeologiczne - jedna z UAM w Poznaniu, druga z Ośrodka Badań nad Antykiem Europy Południowo-Wschodniej UW.

Nauka w Polsce

Serwis Nauka w Polsce - www.naukawpolsce.pap.pl.

Foto: Janusz Reclaw; Wikimedia Commons; CC BY-SA 3.0

Skolioza u kopalnego kręgowca



Prehistoryczny gad *Stereosternum tumidum* żył 290 mln lat temu w morzu na terenie dzisiejszej Brazylii, ale przez ostatnich 17 lat jego kości przeleżały w szafie magazynu Instytutu Paleobiologii PAN. Dzięki nowym badaniom ustalono, że zwierzę cierpiało na skoliozę - wrodzoną patologię kręgosłupa.

Niemal kompletny szkielet permskiego gada morskiego pochodzi z Brazylii i został nabyty od prywatnego kolekcjonera (pierwotnie oznaczony jako późnopermski mezozaur *M. brasiliensis*). W 1999 roku był on przedmiotem pracy magisterskiej Agnieszki Kapuścińskiej (obecnie - pracującej w Instytucie Paleobiologii PAN). W

trakcie swoich badań rozpoznała w nim *Stereosternum tumidum* i ustaliła, że żył około 290 milionów lat temu (we wczesnym permie). Już wówczas zwróciła uwagę na patologię w środkowej części kręgosłupa. Jednak na postawienie diagnozy trzeba było poczekać, gdyż okaz trafił do magazynu instytutowego na 17 kolejnych lat.

Pod koniec 2016 roku, w trakcie przypadkowej rozmowy, Agnieszka Kapuścińska wspomniała o swoich obserwacjach dwóm naukowcom - Dawidowi Surmikiowi z Parku Nauki i Ewolucji Człowieka oraz Fundacji Delta PaleoSafari i

Tomaszowi Szczygieskiemu z Instytutu Paleobiologii PAN.

Ich zawodowe zainteresowania dotyczą m.in. patologii szkieletowych kopalnych kręgowców. Badacze rozpoznali u gada skoliozę spowodowaną wystąpieniem kręgu połowiczego. Ich diagnozę potwierdził znany badacz kopalnych patologii i współautor opracowania, Bruce Rothschild z Carnegie Museum w Pittsburghu (USA). Wyniki analiz przedstawiono w najnowszym numerze "PLOS One".

O czym właściwie mowa? "Kręgi zwierząt wyższych rozwijają się z parzystych, symetrycznych zawiązków. Kręg połowiczy (łac. hemivertebra) jest wrodzoną wadą rozwojową, która powstaje wskutek nierównomiernie rozwijającej się prawej i lewej części trzonu kręgu lub całkowitego braku jednej z nich, przez co kręg staje się asymetryczny. Prawidłowo rozwinięta połowa wklina się pomiędzy sąsiadujące kręgi, doprowadzając do skrzywienia kręgosłupa" - wyjaśniają PAP Dawid Surmik i Tomasz Szczygieski.

Jak zaznaczyli, prehistoryczny okaz gada *S. tumidum* stanowi najstarszy znany przykład takiej wrodzonej patologii kręgosłupa.

Chociaż naukowcy pracujący z materiałem z wykopalisk natykali się już na przypadki kręgów połowicznych, ten właśnie okaz uznają za niezwykle interesujący z kilku powodów. "Po

pierwsze, stanowi on kompletny szkielet, podczas gdy większość poprzednio opisywanych przypadków to pojedyncze, zrośnięte ze sobą kręgi. Drugą ważną cechą jest wczesnopermski wiek okazu, czyniący go najstarszym tego typu przykładem skoliozy na świecie. Po trzecie, *Stereosternum* był gadem pływającym, a więc wystąpienie bocznego skrzywienia i powiązane z nim usztywnienie kręgosłupa mogło znacząco upośledzać jego zdolność polowania czy ucieczki, co powinno skutkować śmiercią takiego osobnika w młodym wieku. Jednakże szkielet należał do osobnika dorosłego" - podkreślają Surmik i Szczygieski.

Ich zdaniem oznacza to, że sztywność środkowego odcinka kręgosłupa nie była dla gada dużą przeszkodą w przemieszczaniu się. Podczas poruszania się w wodzie *Stereosternum* nie wykorzystywał bocznych ruchów tułowia, lecz przede wszystkim ogon. "Opisywany okaz jest jedynym znanym przypadkiem tego typu schorzenia u czworonoga wodnego" - podkreślają.

Kręg połowiczy jest rzadką wadą, która dotyczy około trzech na 10 tys. osobników w populacji ludzkiej. "Prawdopodobieństwo znalezienia kompletnego osobnika gada morskiego sprzed 290 milionów lat z tak znakomicie widoczną patologią jest zatem ewenementem, jeśli uwzględnimy fakt, że tylko nikły procent populacji organizmów ma szansę zachować się w stanie kopalnym" – dodają badacze. (PAP)

zan/ It/ ekr/

Serwis Nauka w Polsce - www.naukawpolsce.pap.pl.

Foto: Pexels

„Żółty Lew” dalej poszukiwany



Archeolodzy podwodni, badając dno Martwej Wisły w pobliżu gdańskiej Twierdzy Wisłoujście, znaleźli m.in. wrak statku pochodzącego z XVII-XVIII w. Nie jest to jednak „Żółty Lew” – pierwszy okręt wojenny polskiej floty, który zatonął w tej okolicy w 1628 r.

O efektach badań przeprowadzonych pomiędzy 23 sierpnia a 3 września przez archeologów, nurków z firmy Archcom, poinformował w środę Andrzej Gierszewski, rzecznik prasowy Muzeum Historycznego Miasta Gdańska (MHMG), które sprawuje pieczę nad Twierdzą Wisłoujście.

Gierszewski przypomniał, że w trakcie prac zbadano dno sąsiadującego z Twierdzą odcinka Martwej Wisły na długości około 650 metrów i szerokości od 5 do 10 metrów. Wyjaśnił, że nurkowie sprawdzili 22 miejsca, które wcześniej – w czasie badań wykonanych sonarem, pracownicy Instytutu Morskiego w Gdańsku wytypowali jako potencjalnie interesujące. „Nurkowie schodzili na maksymalną głębokość 11 metrów, gdzie widoczność wynosiła nie więcej niż metr” – dodał Gierszewski.

Poinformował, że w trakcie prac udało się odnaleźć m.in. ślady palowań, które „mogą pochodzić najdalej z XIV-XV w.”. Wyjaśnił, że

z pali pobrano próbki drewna i jest możliwe, że uda się ustalić dokładny wiek konstrukcji.

Gierszewski dodał, że nurkowie znaleźli też fragmenty wraku pochodzącego z XVII-XVIII w. „Wstępne oględziny fragmentów zalegających w warstwie mułu pozwalają stwierdzić, że wrak mógł mieć do 16 metrów długości. Nie jest to „Żółty Lew”, ale chcemy go dokładnie zbadać w przyszłym roku” – wyjaśnił w przekazanym przez Gierszewskiego komunikacie dyrektor MHMG Waldemar Ossowski.

Rozpoczynając prace, archeolodzy mieli nadzieję na odkrycie pozostałości okrętu wojennego „Żółty Lew” - pierwszej zbudowanej w gdańskiej stoczni pinki służącej we flocie królewskiej. Okręt ten został zatopiony w nocy z 5 na 6 lipca 1628 r. w efekcie szwedzkiego ostrzału artyleryjskiego. Źródła wskazują, że miało to miejsce w bliskim sąsiedztwie Twierdzy Wisłoujście.

Badanie dna Martwej Wisły przeprowadzono w ramach wartego 103,5 tys. zł projektu „Podwodne rozpoznanie obszaru wokół Twierdzy Wisłoujście w Gdańsku”, a na którego realizację MHMG pozyskało dofinansowanie z Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Twierdza Wisłoujście to zespół budowli obronnych na prawym (wschodnim) brzegu Martwej Wisły. Powstał on w miejscu, gdzie w średniowieczu działały nadmorskie strażnice kontrolujące ujście Wisły do Bałtyku. W skład zespołu wchodzi dwa forty: czterobastionowy murowany fort zwany *carre* (zbudowany w latach 1586-1602) oraz otaczający go pięciobastionowy ziemny fort zwany obecnie Szańcem Wschodnim, zbudowany w latach 1624-1626.

Większość obiektów składających się na Twierdzę Wisłoujście przetrwała do dzisiejszych czasów w swojej oryginalnej formie.

W ostatnich latach Muzeum Historyczne Miasta Gdańska przeprowadziło na terenie twierdzy szereg prac remontowych i konserwatorskich. Wiele z nich wykonano dzięki funduszom pozyskanym z Unii Europejskiej, ministerstwa kultury, kasy miasta Gdańska oraz Mechanizmu Finansowego Europejskiego Obszaru Gospodarczego. Tylko na przeprowadzony przed kilkoma laty remont czterech bastionów fortu *carre* wydano ponad 16 mln zł.

Trwają starania o kolejne środki, bo zaniedbana przez długie lata budowla wymaga wielu pilnych prac. (PAP)

Nauka w Polsce

Serwis Nauka w Polsce - www.naukawpolsce.pap.pl.



Park Archeologiczny w pobliżu jaskini Obłazowej



W miejscowości Nowa Biała koło Nowego Targu w 2019 r. zostanie otwarty Park Archeologiczny. Znajduje się tam jaskinia Obłazowa, w której odkryto m.in. najstarszy na świecie bumerang z ciosu mamuta przed 30 tys. lat oraz ślady bytności neandertalczyka.

Jak powiedział PAP w czwartek zastępca wójta gminy Nowy Targ Marcin Kolasa, obecnie trwają przygotowania do złożenia - wspólnie z partnerami słowackimi - wspólnego wniosku o dofinansowanie inwestycji w ramach transgranicznego programu współpracy polsko-słowackiej w formule zaprojektuj-wybuduj.

„W ramach programu istnieje możliwość dofinansowania inwestycji w wysokości 85 proc. kosztów całkowitych, które planowane są na poziomie około 8-9 mln zł. Ponadto prowadzimy procedurę zmiany studium i planu zagospodarowania przestrzennego w zakresie tej inwestycji. Wniosek o wsparcie inwestycji

zostanie złożony przed końcem bieżącego roku” – wyjaśnił.

Prace nad budową Parku Archeologicznego mają ruszyć w przyszłym roku, a oddanie obiektu do użytku ma nastąpić w 2019 r.

Projekt zakłada trzy funkcje obiektu: muzealną, edukacyjną i turystyczną. Centralnym miejscem ma być zrekonstruowana jaskinia Obłazowa wraz ze znalezionym tu najstarszym na świecie bumerangiem, który obecnie jest eksponowany w jednym z krakowskich muzeów. Dzięki rekonstrukcji zwiedzający będą mogli zobaczyć wnętrze zasiedlonej przez neandertalczyków jaskini, bez konieczności wchodzenia do ciasnej i trudnodostępnej groty.

Zostanie także wybudowana sieć ścieżek, które będą prowadzić do samej jaskini z ekspozycjami tematycznymi w formie tablic oraz makiet zwierząt i roślin okresu kamienia łupanego.

Jak zapewniają władze gminy, inwestycja ma być bodźcem do rozwoju lokalnego. „Potencjał okolicy jest ogromny, przecież niedaleko w sąsiedniej gminie, w odległej o cztery km Białce Tatrzańskiej jest mnóstwo turystów, którzy jak sadzę skorzystają z nowej atrakcji. Dlatego park musi mieć charakter wyjątkowy. Nie chcemy, aby była to tylko typowa placówka muzealna, chcemy jej nadać charakter bardziej nowoczesny, interaktywny” – mówił Kolasa.

Eksploracja jaskini Obłazowej rozpoczęła się w 1985 r. Archeolodzy pod przewodnictwem prof. Pawła Valde-Nowak z Uniwersytetu Jagiellońskiego natrafili tam na ślady obozowiska łowców reniferów sprzed 12 tys. lat, krzemienie i amulety oraz liczne szczątki zwierząt takich jak: lew jaskiniowy, hiena jaskiniowa i nosorożec włochaty. Ekspersi przypuszczają, że Obłazowa mogła spełniać funkcję sakralną.(PAP)

szb/ agz/

Serwis Nauka w Polsce - www.naukawpolsce.pap.pl.

Foto: Jerzy Opiola, Wikimedia Commons; CC BY-SA 3.0

**panele
podłogowe**

z montażem GRATIS
na terenie całego kraju

www.swiatpaneli.com

 Świat Paneli

Unikatowe pismo z Wyspy Wielkanocnej



W jednym z najbardziej odosobnionych miejsc na świecie - Wyspie Wielkanocnej - kilkaset lat temu powstało pismo rongorongo. Trwają próby jego odczytania. W gronie kilku osób, które podjęły się tego wyzwania jest Polak, dr Rafał Wieczorek.

Do naszych czasów zachowało się 25 zabytków, na których znajdują się teksty wyryte w piśmie rongorongo. W ten sposób określa się system zapisu znany tylko z Wyspy Wielkanocnej - żaden inny z ludów polinezyjskich nie wymyślił pisma.

"Wiele wskazuje, że Wyspa Wielkanocna jest jednym z kilku miejsc na świecie, w którym pismo powstało niezależnie od innych systemów zapisu. Zagadką pozostaje, dlaczego powstało w tak bardzo odosobnionej lokalizacji" - opowiada

PAP dr Rafał Wieczorek z Wydziału Chemii Uniwersytetu Warszawskiego.

Rozszyfrowania pisma nie ułatwia fakt, że sprawą zajmuje się na świecie zaledwie kilka osób i to nie "na pełen etat". Wszyscy zaangażowani podejmują się tego zagadnienia w ramach dodatkowego zajęcia. "Aby sprawa ruszyła do przodu, niezbędne jest powołanie zespołu badawczego, który zająłby się tylko tym" - uważa naukowiec.

Na co dzień dr Wieczorek zajmuje się co prawda astrobiologią, ale wiele lat temu dołączył do międzynarodowego grona, którego celem jest próba rozszyfrowania rongorongo. Badacz nie ukrywa, że tej drugiej pasji poświęca coraz więcej czasu - jest też autorem kilku artykułów

na temat rongorongo opublikowanych w naukowych periodykach.

Mimo wielu znaków zapytania, badacze zagadkowego pisma ustalili kilka faktów. Przede wszystkim wiadomo, że posługiwała się nim arystokracja żyjąca na wyspie - nie było to zatem pismo powszechnie używane. Zdania odczytywano w systemie odwróconego bustrofedonu - należało obracać przedmiot w czasie czytania. W jaki sposób udało się to ustalić, mimo że pismo nadal nie zostało odczytane? "Otóż na kilku tabliczkach powtarzają się sekwencje znaków. W niektórych przypadkach te przechodzą na kolejne linijki tekstu, a w innych - kontynuują się w jednej" - opowiada Wieczorek.

Wiele wskazuje na to, że pismo rongorongo należy odczytywać podobnie do egipskich hieroglifów. W systemie znad Nilu zapis oparto o logogramy (znaki oznaczające to, co przedstawiają lub słowa pokrewne metaforycznie), fonogramy (znaków oznaczających spółgłoski) lub determinatywów (symboli mających dookreślić znaczenie poprzedzającego je słowa zapisanego fonetycznie). W przeciwieństwie do egipskich hieroglifów, których jest ok. 1 tys., znaków składających się na rongorongo jest o prawie połowę mniej - badacze oszacowali ich liczbę na nieco ponad 600. Wśród nich są przedstawienia przywodzące na myśl postaci ludzkie, które cechują się nadnaturalnie długimi rękami ukazwanymi w różnym układzie, ale również

zwierzęta - ptaki, ryby, rekiny, myszy i szczury. Jest też duża grupa - ok. 200 prostych znaków - które trudno jest jednoznacznie zidentyfikować. Przypominają narzędzia lub broń.

Wciąż pozostaje jednak wiele znaków zapytania. Naukowcom nie udało się do dzisiaj ustalić, kiedy rongorongo powstało. "Niektórzy sugerowali, że stało się to dopiero w wyniku kontaktu z europejskimi najeźdźcami, co jest jednak mało prawdopodobne" - ocenił dr Wieczorek. Nie są pomocne w tej kwestii badania fizykochemiczne zabytków - metodą radiowęglową przebadano tylko jeden z nich. Uzyskano datę zbliżoną do XVIII w., ale ten rodzaj analiz nie sprawdza się w przypadku czasów najbliższych.

Inne ludy polinezyjskie nie miały własnego systemu pisma. Dlaczego zatem pojawiło się na jednej z najbardziej osamotnionych wysp świata? Nauka nie znalazła jeszcze odpowiedzi na to pytanie.

Badacze roboczo podzielili tabliczki ze względu na ich przypuszczalną treść. Tylko w przypadku jednej panuje pełna zgoda, że dotyczy zjawisk astronomicznych - widnieje na niej 28 znaków przedstawiających półksiężyc. Tymczasem z analiz polskiego naukowca wynika, że być może jeszcze jedna z nich ma podobną treść - do takiego wniosku doszedł Wieczorek po wykonaniu analizy statystycznej znaków na wszystkich zachowanych tabliczkach pokrytych pismem rongorongo. Druga "astronomiczna"



tabliczka znajdowała się w Belgii, ale spłonęła w czasie I wojny światowej. Badacz dotarł jednak do jej fotografii. Udało się mu ustalić, że sekwencje znaków, wśród których były półksiężycy, miejscami pokrywały się w przypadku dwóch zabytków.

Z kolei w najnowszej publikacji polski badacz wskazał na jeden ze stosowanych znaków na tabliczkach - jego zdaniem symbol przedstawiający trzy koraliki pełni rolę duplikatora. "Języki polinezyjskie, do których należał język używany przez mieszkańców Wyspy Wielkanocnej, znane są ze stosowania podwojeń - i tak słowo +tea+ oznacza jasny, a +teatea+ biały" - wyjaśnia badacz. Również nowożytnie określenie tego systemu zapisu - rongorongo składa się z duplikatora. Słowo oznacza śpiewy lub zawodzenia. Badacze nie wiedzą jednak, jak oryginalnie nazywali je mieszkańcy wyspy.

A mało brakowało, by o piśmie mieszkańców osamotnionej na Pacyfiku wyspy nikt nigdy się nie dowiedział. Zastanawiającą kwestią jest to, że żaden z pierwszych europejskich odkrywców wyspy (w 1722 r.) nie odnotował znajomości pisma wśród miejscowej ludności. O setkach drewnianych tabliczek pokrytych enigmatycznymi rytami poupychanych w chatkach zaczęli donosić dopiero chrześcijańscy duchowni ponad 100 lat później.

"Już wtedy nikt nie potrafił ich odczytać" - dodaje dr Wieczorek. A pragmatyczni

mieszkańcy wyspy - zdziśiatkowani przez europejskich najeźdźców - stosowali tabliczki jako podpałkę, na wyspie zawsze problemem była bowiem dostateczna ilość drewna.

Co ciekawe, nawet na duchownych tabliczki nie zrobiły wielkiego wrażenia - jedna z tabliczek została użyta jako kołowrotek do ozdobnego sznura, który współbracia przekazali w 1869 r. jako prezent dla swojego przełożonego - biskupa Tahiti.

"Tymczasem uwagę biskupa przykuł nie sam prezent, ale właśnie kołowrotek. To dzięki jego interwencji do dnia dzisiejszego zachowała się większość znanych obecnie tabliczek" - opowiada naukowiec. W kolejnych latach kilku ekspedycjom, m.in. z Rosji i Anglii, udało się pozyskać pojedyncze zabytki. Ostatni - uznany za oryginalny - pojawił się na aukcji w Londynie pod koniec XIX w.

"Próba rozszyfrowania rongorongo jest zajęciem bardzo stymulującym intelektualnie. Liczę, że to się uda - badając dalej wewnętrzną strukturę pisma i jego układ z pewnością zrobimy dalszy postęp w tej dziedzinie" - podsumował.

PAP - Nauka w Polsce, Szymon Zdziebłowski

Serwis Nauka w Polsce - www.naukawpolsce.pap.pl.

Foto: Pexels

W poszukiwaniu śladów po Celtach



Żelazny nóż, zapinka, tygielek, żuźle i unikatowe w skali regionu fragmenty trzech bransolet wykonanych z węgla – to ostatnie odkrycia archeologów, którzy w Samborowicach koło Raciborza (Śląskie) prowadzą badania wykopaliskowe na terenie dawnej osady Celtów.

Kierujący pracami archeolodzy Jacek Soida i Przemysław Dulęba mają nadzieję, że do połowy września, do kiedy potrwają prace, uda się jeszcze znaleźć jakiś artefakt z wczesnego okresu lateńskiego, czyli z okresu IV–III w. p.n.e. Dotąd bowiem dominowały nieco późniejsze relikty, bo z przełomu III/II w. p.n.e.

Soida przypomniał, że Celtowie zamieszkiwali kiedyś obszar południowej Polski tylko w kilku rejonach m.in. na Dolnym Śląsku w okolicach Wrocławia, w Małopolsce pod Krakowem i na Podkarpaciu oraz właśnie na płaskowyżu głęboczyckim, czyli w okolicach Raciborza.

"Do tej pory osadnictwo celtyckie było odkrywane raczej przypadkowo np. w wyniku jakiś inwestycji, które prowadzone były w związku z budową dróg. Natomiast nasze badania są stricte naukowe. Zlokalizowaliśmy obiekty, które są związane z Celtami i co roku wykonujemy na polach Samborowic jakby cięcia chirurgiczne, odkrywając nowe obiekty" – wyjaśnił Soida.

Dodał, że wciąż słabo zbadane osadnictwo kultury lateńskiej, czyli tej związanej z Celtami, wynika również "z trudności zlokalizowania pozostałości reliktyw osad celtyckich w tym gęszczu pozostałości po różnych kulturach pradziejowych, które spotykamy w tej części Górnego Śląska".

Ekipie Jacka Soidy z Muzeum Śląskiego i dr. Przemysław Dulęby z Uniwersytetu Wrocławskiego udało się jednak zlokalizować takie miejsce, w którym od kilku lat prowadzone są badania. "Tutaj odkryliśmy m.in. relikty budynków, które określamy mianem półziemianek z uwagi na to, że są zagłębione w ziemię, a w nich – różne artefakty związane właśnie z kulturą lateńską. To przede wszystkim ceramika, ale również przedmioty metalowe, wykonane z żelaza i brązu, a także inne przedmioty, takie jak ozdoby szklane" – mówił.

"W tym roku udało nam się odkryć coś unikatowego – fragmenty bransolet wykonane z odmiany węgla określanej przez naukowców jako sapropelit. To bardzo ciekawa rzecz i jak do tej pory rzadko spotykana u nas, na Górnym Śląsku" – podkreślił.

Jak tłumaczył Soida, odkrywane przez nich relikty budynków usadowione były niegdyś na podłożu lessowym. Dodał, że nie były one budynkami mieszkalnymi, a raczej pracowniami rzemieślniczymi lub budowlami o charakterze gospodarczym. "Celtowie mieszkali bowiem w dużych budynkach o konstrukcji słupowej. Na takie też natrafiamy, ale trudno nam powiedzieć, czy one są związane właśnie z Celtami, czy może z dużo starszą kulturą neolityczną, której relikty też odkrywamy na stanowisku" – wskazał archeolog.

Natomiast tym obecnie odkrywanym budynkom - dodał - można próbować przypisać konkretne funkcje gospodarcze na podstawie odkrywanych w ich wnętrzu artefaktów.

"Dopiero jesteśmy na półmetku tegorocznych badań, ale możemy już powiedzieć, że na pewno mamy jeden budynek, który związany był z jakąś działalnością metalurgiczną; w jego wnętrzu znaleźliśmy tygielek i inne ślady produkcji metalurgicznej w postaci przetopionych fragmentów brązu i żużli żelaznych. Co więcej, mamy podejrzenie, że to pierwszy taki obiekt osadniczy z obszaru Górnego Śląska związany z wczesnym okresem lateńskim" – podał Soida.

Właśnie odkrycie czegoś z wczesnego okresu lateńskiego jest jedną z nadziei archeologów pracujących w Samborowicach. "Mamy nadzieję, że znajdziemy jakiś zabytek, który potwierdziłby nam obecność osad celtyckich z tego okresu. Jednak abyśmy byli pewni, musielibyśmy mieć jakiś dobry datownik, najlepiej jakąś zapinkę, ponieważ zabytki związane właśnie z modą ulegały szybkiej zmianie i są bardzo dobrymi datownikami. Jeśli nie, to pozostają jeszcze badania izotopu węgla C14" – tłumaczył Soida.

Do końca prac, w które zaangażowani są także wolontariusze (głównie studenci z różnych instytutów archeologii z całego kraju) pozostało jeszcze pół miesiąca.

Odkryte artefakty m.in. zasila następnie związaną z kulturą lateńską kolekcję Muzeum Śląskiego.

Agnieszka Kliks-Pudlik (PAP)

Nauka w Polsce

Serwis Nauka w Polsce - www.naukawpolsce.pap.pl.

Foto: Pexels

Monety z oblężenia Gdańska



Grosz oblężniczy 1577, Gdańsk, Kop. 7388, Kurp. 345, Gum. 775, odmiana z legendą na awersie rozpoczynającą się i kończącą gwiazdkami



Grosz oblężniczy 1577, Gdańsk, Kop. 7388, Kurp. 343, Gum. 775



Grosz 1577, Gdańsk, Kop. 7388, Kurp. 346, Gum. 775, napis na awersie zakończony dwoma gwiazdkami

Katalog został przygotowany w oparciu o materiał dostarczony przez Poznański Dom Aukcyjny oraz Podlaski Gabinet Numizmatyczny. Przedstawione zdjęcia pozostają własnością PDA&PGN.

www.pgnum.pl



Fikcyjna postać z komiksów prawdziwą żyłą złota

Unikatowy numer komiksu z 1974 roku, w którym zadebiutował Wolverine – pierwowzór postaci granej Hugh Jackmana w serii filmów o największych superbohaterach, trafił pod młotek w europejskim domu aukcyjnym Catawiki. Specjaliści szacują, że wartość wydania od premiery wzrosła aż 40 000-krotnie.

Debiutujący w „Niesamowitym Hulku #181”, w 1974 roku Wolverine w ciągu kolejnych lat zyskiwał coraz mocniejszą pozycję w świecie fantastyki komiksowej. Zwieńczeniem sławy, jaką cieszy się ta postać jest m.in. niezapomniana kreacja aktorska Hugh Jackmana, który wcielił się w rolę czarnego charakteru aż dziewięciokrotnie. Oryginalna, komiksowa historia początku kariery tego niezwykle bohatera kusi jeszcze bardziej, zwłaszcza w obliczu plotek mówiących o tym, że gwiazdor występem w „Loganie” po 17 latach kończy przygodę z najpopularniejszym z X-menów. Biorąc pod uwagę dotychczasowy wzrost wartości egzemplarza komiksu (wydawnictwo z roku na rok średnio zyskiwało niemal 1000 euro rocznie), trudno oprzeć się wrażeniu, że obrazkowa historia spotkania Hulka z Wolverinem to prawdziwa żyła złota.

- To aukcja przeznaczona dla fanów Marvela, Wolverina debiutującego w „The Incredible Hulk #181” oraz wszystkich poszukiwaczy komiksowych perełek. Z całą pewnością to jedno z



najbardziej unikatowych i rzadkich tego rodzaju wydawnictw – mówi Tim Plumbe, ekspert Catawiki w kategorii komiksów.

Pierwsze wydanie komiksu wystawionego na aukcję uzyskało bardzo wysokie noty (9.8) najbardziej liczącej się w branży światowej organizacji weryfikującej wartość komiksów – Certified Guaranty Company (CGC). Specjaliści wzięli pod uwagę m.in. doskonały stan wydania oraz fakt, że stanowi ono jedno z mniej niż 100 pozostałych w obiegu egzemplarzy. Uwieczniona na okładce walka Hulka z Wolverinem, stworzonym przez zespół kreatywny w składzie: Len Wein, John Romita Sr, Herb Trimble, jest dodatkowo wyeksponowana dzięki oficjalnemu zabezpieczeniu komiksu przez CGC.

Eksperci szacują wartość wystawionego komiksu na 10 000 euro.



Muzeum Farmacji otwiera się na warszawskiej Starówce



Historie leków, trucizn i narkotyków, zrekonstruowane wnętrza starych aptek, zabytkowe meble, narzędzia, naczynia tworzą nową wystawę główną "Res pharmaceuticae" w Muzeum Farmacji (oddziale Muzeum Warszawy), które otwiera się 6 września.

"Główną ideą ekspozycji +Res pharmaceuticae+ jest upowszechnianie wiedzy z zakresu historii farmacji" - powiedziała PAP prof. Iwona Arabas,

pomysłodawczyni wystawy. "W kameralnych wnętrzach Muzeum Farmacji przedstawiamy zrekonstruowane wnętrza apteki z okresu dwudziestolecia międzywojennego, historii najważniejszych grup leków oraz leków należących do tradycji japońskiej. Uroda pokazywanych szklanych naczyń aptecznych zaskakuje różnorodnością barw i kształtów, a otwarta farmaceutyczna biblioteka zachęca do skorzystania z niej na miejscu" - dodała.



"Forum magistry Antoniny Leśniewskiej" - prezentuje postać mgr Antoniny Leśniewskiej, farmaceutki, która stworzyła w Petersburgu pierwszą na świecie aptekę z całkowicie żeńskim personelem. Była jedną z pierwszych kobiet na świecie, które ukończyły farmację i właściwie ona otworzyła kobietom drogę do zawodu farmaceuty. W latach 1934–1937 była właścicielką apteki działającej w Warszawie przy ulicy Marszałkowskiej 72. Muzeum Farmacji nosi właśnie imię Antoniny Leśniewskiej.

W pięciu salach Muzeum Farmacji znalazły się ekspozycje poświęcone poszczególnym zagadnieniom: "Officina sanitatis" - przedstawia historię aptek i aptekarstwa od czasów starożytnych, oraz przywołuje postaci słynnych farmaceutów, np. żyjącego w II wieku n.e. rzymskiego lekarza Galena.

"Materia medica" - przybliży wiedzę o surowcach naturalnych, z których się wytwarza leki: roślinnych, zwierzęcych, skałach i minerałach, o tworzeniu receptur, o właściwych postaciach leków, o fałszerstwach a także o sporządzanych niegdyś w aptekach lekach, dziś zapomnianych, w postaci tabletek, proszków dzielonych, naparów, odwarów, czopków i mazideł. "Jednym z najstarszych leków opisanych przez naukę jest po prostu aspiryna. I jej pozycja w aptekarstwie jest niezachwiana" - powiedziała Arabas.

"Kolor i szlif" - to najpiękniejsza część wystawy, na której wyeksponowano szkło, które było podstawowym materiałem do produkcji naczyń aptecznych: butle ze szkła turkusowego, żółto-zielone szkło uranowe, szkło bezbarwne, kryształowe flakony zwracają uwagę kształtami i barwą.

"Leki Kampo w japońskiej tradycji" - to piąta, ostatnia część nowej wystawy Muzeum Farmacji. Kampo w języku japońskim oznacza "chińską metodę". Leki Kampo, które są integralną częścią współczesnego japońskiego przemysłu farmaceutycznego zaczęły przenikać na wyspy japońskie w VI wieku. Stworzenie japońskiej części ekspozycji było możliwe dzięki kontaktom prof. Arabas nawiązanym podczas stypendium w Japonii, darowi rodziny Kashimoto z Osaki, i współpracy m.in. z prof. Shoji Asadą z Uniwersytetu w Kobe.

Prof. Arabas poleciła uwadze zwiedzających muzeum m.in. szklaną urnę z prochami zabytków aptekarskich gromadzonych w siedzibie Polskiego Towarzystwa Farmaceutycznego przy ulicy Długiej 16 w Warszawie z myślą o powstaniu Muzeum Farmacji. Prochy te zebrano w gruzach spalonej podczas Powstania Warszawskiego kamienicy.

Innym, wskazanym przez pomysłodawczynię wystawy, interesującym eksponatem jest trawiona szyba, wraz z dwoma szyldami, która stanowiła witrynę apteki na warszawskim MDM-ie, wybudowanej w latach 1950–52. Kielich greckiej bogini zdrowia Higieji, z



wężami symbolizującymi odnowę życia oraz wizerunek aptekarza podającego lek matce z dzieckiem, utrzymane są w socrealistycznej stylistyce. W 50. XX w. wystrój przejętych przez państwo aptek ujednolicono i upraszczano. Stylowa, osadzona w kontekście dzielnic witraż była wyjątkiem.

Modernizacja wystawy w Muzeum Farmacji, Oddziale Muzeum Warszawy została dofinansowana ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego w ramach Programu: Wspieranie działań muzealnych 2017.

Do końca 2017 r. cena biletów, upoważniających do wejście na wystawę "Res pharmaceuticae" w Muzeum Farmacji przy ul. Pivnej w Warszawie będzie symboliczna: 2 zł za bilet normalny oraz 1 zł za ulgowy. Muzeum będzie czynne w godz. 10.00-18.00. (PAP)

Serwis Nauka w Polsce -
www.naukawpolsce.pap.pl



Wielka Brytania Cz.2

7,7x56 R Lee Enfield



Producent: Birmingham Metal and Munitions Co Ltd. Birmingham. Wyprodukowano w 1916 roku.



Producent: Kynoch & Co, Witton, Birmingham. Wyprodukowano w 1916 roku.



Producent: Kings Norton Metal Co., Birmingham. Wyprodukowano w 1915 roku.



Producent: Birmingham Metal and Munitions Co Ltd. Birmingham. Wyprodukowano w 1916 roku.



Producent: Royal Ordnance Factory, Radway Green, Cheshire. Wyprodukowano w 1942 roku.



Producent: Royal Laboratories, Woolwich. Wyprodukowano w 1942 roku.



Producent: Crompton Parkinson Ltd, Doncaster. Wyprodukowano w 1944 roku



Producent: Kynoch & Co, Witton. Wyprodukowano w 1937 roku



Producent: Imperial Chemical Industries Kynoch, Standish. Wyprodukowano w 1941 roku



Producent: Royal Laboratory, Woolwich Arsenal . Wyprodukowano w 1938 roku



Producent: Royal Laboratory, Woolwich Arsenal. Wyprodukowano w 1937 roku



Producent: Greenwood & Batley, Ltd., Leeds. Wyprodukowano w 1933 roku



Producent: Kynoch & Co, Witton



Producent: Kynoch (I.C.I.), Kidderminster, Worcestershire. Wyprodukowano w 1943 roku



Producent: Kynoch (I.C.I.), Yeading, Hayes, Middlesex. Wyprodukowano w 1943 roku



Producent: Government Cartridge Factory No 3, Blackpole. Wyprodukowano w 1918 roku.



Producent: Kynoch & Co, Witton. Wyprodukowano w 1935 roku.

JARO

Wystawa specjalna „Rewolucja – 50 lat NSU Ro 80”



2017 do 27 maja 2018
wystawie w Audi Forum
Neckarsulm, będą rzadko
spotykane warianty modelowe
tej ikony stylistyki rodem z
Neckarsulm.

NSU Ro 80 w swoich czasach
wyznaczało nowe standardy w
zakresie stabilności jazdy,
bezpieczeństwa, komfortu i
osiągów. Futurystyczna,
klinowata linia karoserii
uczyniła z niego kamień
milowy stylistyki
samochodowej. Ro 80 to
również najsłynniejszy
samochód z silnikiem Wankla.

Wystawą specjalną pt. „Rewolucja – 50 lat
NSU Ro 80”, Audi Tradition pragnie
uhonorować wyjątkowy moment w historii
przedsiębiorstwa. W roku 1967, na
Międzynarodowych Targach
Motoryzacyjnych (IAA) we Frankfurcie
nad Menem, swą premierę miał luksusowy
model NSU Ro 80. Jeszcze w tym samym
roku, międzynarodowe jury uznało go za
samochód roku. Prawdziwymi rarytasami
pokazanymi na trwającej od 30 września

Pomysł silnika spalinowego z tłokiem
obrotowym, chodził za Felixem Wanklem
od późnych lat 20-tych ubiegłego wieku.
Prace nad nim, aż do osiągnięcia
dojrzałości do produkcji seryjnej, trwały
ponad 30 lat. W marcu 1954 r. Wankel
stworzył podstawową konstrukcję
nazwanego później jego nazwiskiem
silnika. Trzy lata później, silnik ów po raz
pierwszy zaczął pracować o własnych
siłach na stanowisku kontrolnym zakładów



NSU. Załoga działu ds. rozwoju marki NSU uprościła technicznie skomplikowaną konstrukcję, tworząc dwa obracające się wewnątrz siebie elementy. Także dzięki takiej koncepcji napędu, Ro 80 był chyba najbardziej awangardowym pojazdem marki NSU.

W latach 1967 - 1977 z taśmy produkcyjnej w zakładach w Neckarsulm, zjechało łącznie 37 406 egzemplarzy Ro 80. Samochód ten przeszedł do historii jako najbardziej zaawansowany technicznie, największy, a równocześnie ostatni model tej marki. W roku 1969, z inicjatywy koncernu Volkswagen AG, nastąpiła fuzja przedsiębiorstwa z producentem z Ingolstadt – Auto Union GmbH i powstało Audi NSU Auto Union AG. W 1985, z tych połączonych przedsiębiorstw powstała dzisiejsza spółka akcyjna Audi AG.

Goście wystawy specjalnej „Rewolucja – 50 lat NSU Ro 80” obok eksponatów związanych z pracami konstrukcyjnymi nad tym modelem, będą mogli podziwiać różne jego wersje i warianty. Zobaczymy tu m. in. najstarszy egzemplarz Ro 80 w oryginalnym stanie. Ciekawostką jest, że był to prywatny pojazd Felixa Wankla. Zobaczyć będzie można również projekty stylistyczne - pojazdy studyjne biur projektowych Pininfarina i Bertone oraz egzemplarz K70, czyli ostatni samochód zaprojektowany przez NSU, który ostatecznie wszedł na rynek jako model marki Volkswagen – VW K70.

Swą obecność w Audi Forum Neckarsulm na inauguracji wystawy w dniu 30 września 2017, zapowiedziało ponad stu właścicieli Ro 80 za kierownicami swoich historycznych pojazdów. Audi Tradition będzie sprzedawać w tym dniu specjalną ofertę – ekskluzywne akcesoria do Ro 80. Obok miniatur różnej wielkości, można będzie kupić też koszulki, plakietki i limitowane wydanie teczek. Klaus Arth, autor niedawno wydanej książki poświęconej jubileuszowi Ro 80, będzie podpisywał swoje dzieło pt. „NSU Ro 80, przewaga dzięki technice”.

Foto: Audi

Snoppa M1 – inteligentny gimbal



Dostępne na rynku gimbale gwarantują, że filmy nagrywane za pomocą naszych smartfonów i kamer będą zawsze płynne, a zdjęcia nieporuszone i ostre. Właśnie z tego powodu Gimbal Snoppa M1 to niezawodny towarzysz weekendowych spacerów oraz dłuższych wypraw w plener, bowiem dzięki niemu możemy mieć pewność, że nagrywane przez nas filmy zawsze będą doskonałej jakości.

Płynny i zawsze ostry obraz

Gimbal Snoppa M1 ma wbudowany trójosiowy algorytm stabilizacji obrazu, który wspierany jest również przez

odpowiednie oprogramowanie. Snoppa M1 jest w stanie dokładnie odnaleźć odpowiednią pozycję smartfona oraz kontrolować ruchy naszych dłoni i eliminować ewentualne rozmycia obrazu. Urządzenie współpracuje zarówno z systemem Android, jak i iOS za pośrednictwem specjalnie dedykowanej aplikacji Snoppa App, która zapewnia wiele ustawień i dodatków przydatnych podczas korzystania z gimbala.

Profesjonalne kadry na wyciągnięcie ręki

Snoppa M1 ma kilka dedykowanych trybów, które ułatwiają nagrywanie

filmów. W trybie Pan Track wykonujemy zdjęcia poziome, a obraz obraca się bez zakłóceń wraz z operatorem. W momencie, gdy chcemy zrobić zdjęcia z każdego możliwego kąta, nasz smartfon podąża za każdym naszym ruchem, wykonując tym samym bardzo precyzyjne ujęcia. Umożliwia to tryb Omni Track. Jeśli jednak chcemy zablokować nasze urządzenie i zatrzymać się na jakimś konkretnym punkcie podczas filmowania możemy skorzystać z opcji Head Lock. Snoppa M1 pomoże wykonać wysokiej jakości filmy i zdjęcia w trybie panoramicznym 270° lub skorzystać z opcji spowolnienia czasu (Time Lapse Mode). Wszystko po to, by uwiecznianie chwil było różnorodne i dostosowane do naszych użytkowników.

Co w środku?

Snoppa M1 jest bardzo poręcznym gimbalem, którego wymiary po złożeniu to 208 x 53 x 43 mm, natomiast po rozłożeniu, długość urządzenia wynosi aż 266 mm. Sprzęt jest lekki, gdyż łącznie z baterią waży niecałe 450 gramów. Wbudowany akumulator o pojemności 1300 mAh pozwala na korzystanie z gimbala przez 4 godziny bez przerwy. Snoppa M1 jest łatwy w użyciu, a jego rozkładanie trwa dosłownie kilka sekund.

Snoppa M1 jest idealnym wyborem dla osób aktywnie spędzających czas, lubiących pokazywać swoje wyczyny sportowe czy po prostu czerpiących przyjemność z dzielenia się swoimi przygodami ze znajomymi na Facebooku i innych serwisach społecznościowych. Urządzenie dostępne jest w cenie już od 799 zł.



NOWOŚĆ
MXSPORT



*Prawdopodobnie najlepszy
wykrywacz na rynku!*

Bitwa pod Lenino



W dniach 12-13 października 1943 roku koło wsi Lenino na Białorusi odbyła się bitwa pomiędzy 33. armią radziecką, w której skład wchodziła 1. dywizji piechoty im. Tadeusza Kościuszki a wojskami niemieckimi. W tym roku mija 65 lat od tego wydarzenia.

Po ataku III Rzeszy na ZSRR w 1941 roku, sojusz niemiecko-sowiecki został zerwany, a Stalin wyraził chęć przyłączenia się do aliantów. Wznowione zostały także kontakty dyplomatyczne pomiędzy Związkiem Radzieckim a rządem polskim na uchodźstwie. W wyniku tych działań możliwe stało się utworzenie armii polskiej w ZSRR, w skład której weszli Polacy uwolnieni z więzień sowieckich. Rozrastająca się armia tworzona przez gen. Władysława Andersa i licząca 70 tys., została w sierpniu 1942 roku ewakuowana do Iranu.

Nadal jednak w Związku Radzieckim pozostawało wielu Polaków, którzy nie zdążyli zaciągnąć się do Armii Andersa. Część z nich stanowili komuniści, którzy za zgodą Stalina założyli Związek Patriotów Polskich. W kwietniu 1943 roku Związek za aprobatą Rosjan wystosował komunikat o naborze do tworzonej 1. dywizji piechoty im. Tadeusza Kościuszki.

Zacząła ona powstawać w Sielcach nad Oką, a jej dowódcą został Zygmunt Berling. Strukturę dywizji oparto na wzorcach sowieckich gwardyjskich dywizji piechoty uzupełnionych o oddziały czołgowe i lotnicze. Zgłosiło się do niej wielu ochotników, a braki kadry oficerskiej uzupełniano wyższymi stopniem czerwonoarmistami. Tworzenie 1. dywizji piechoty im. Tadeusza

Kościuszki zakończyło się w lipcu 1943 roku. Formacja liczyła wówczas 16 tys. żołnierzy.

Po mającej miejsce w tym samym czasie porażce w bitwie pancernej na łuku kurskim, Hitler zarządził odwrót w kierunku zachodnim ku pozycjom na linii Lenino-Drybin-Sławgorod, które były ostatnią linią obronną przed Dnieprem i stanowiły ważny dla III Rzeszy szlak komunikacyjny. W obleganiu zajętych tam przez Niemców pozycji Armię Czerwoną miała wspierać także 1. dywizja piechoty im. Tadeusza Kościuszki.

Polacy, wchodzący w skład 33. armii, mieli za zadanie przełamać niemiecką obronę na odcinku od wsi Sysojewo do wsi Lenino, rozgromić nieprzyjaciela w okolicy wsi Połzuchy i Trygubowo oraz przygotować przeprawę na Dnieprze w pobliżu Orszy. Atak polski miały wspierać radzieckie oddziały - 42. Dywizja Piechoty na prawym i 290. Dywizja Piechoty na lewym skrzydle oraz 67. brygada artylerii haubic.

Położenie było korzystniejsze dla Niemców. Chroniła ich rzeka Miereja oraz bagna wokół niej, a także gęste zalesienie. Główne stanowiska obronne oparli na wzgórzach 215,5 oraz 217,6.

Plan opracowany przez gen. Berlinga zakładał, że bitwę rozpoczyna 1. i 2. pułk piechoty, zaś trzeci ruszy w drugim natarciu. Atak miał poprzedzić ostrzał artyleryjski, a zadaniem oddziałów saperskich było przygotowanie na rzece przeprawy dla czołgów, które stanowiły rezerwę wraz z kompanią rusznic przeciwpancernych i CKM-ów.

Atak rozpoczął się 12 października o godz. 6. 1. batalion przeszedł przez rzekę do pierwszych okopów nieprzyjaciela, który powitał go silnym ogniem, co spowodowało odwrót. O godz. 9.20 rozpoczął się kolejny atak, który spotkał

się z dużym odporem Niemców. Atakujący po dotarciu do pierwszej linii okopów odpalili racę sygnalizując swoim przeniesienie ostrzału dalej. Po przegrupowaniu podjęto udany szturm na niemieckie okopy. Jednak Niemcy nadal zachowali przewagę liczebną. Następnie, 2. batalion podszedł pod silnie bronioną wieś Połzuchy, którą zdobyto dzięki atakowi artylerii i manewrowi okrążającemu.

Wywalczona przez Polaków pozycja pozostała jednak odsłonięta w związku z zatrzymaniem się oddziałów radzieckich, znajdujących się na skrzydłach, na pierwszych niemieckich liniach obrony. Złazcza ostrzał niemiecki prowadzony ze wsi Trygubowo dawał się Polakom we znaki, dlatego musieli temu przeciwdziałać. Wieś została zdobyta, jednak Niemcy podjęli udany kontratak. Później wieś raz jeszcze dostała się w ręce polskie, ale stałe ataki ze strony Wehrmachtu po raz kolejny odrzuciły polskie oddziały na 350 metrów od wsi, gdzie berlingowcy się okopali.

Niemcy starali się wówczas odsunąć Polaków jeszcze dalej, by odbudować swoją linię obrony, jednak artyleria radziecka uratowała osłabione kadry gen. Berlinga, wymuszając odwrót wroga. Kolejne dwa ataki Wehrmachtu w rejonie wsi Połzuchy ponownie zostały odparte przy udziale haubic i rusznic przeciwpancernych.

Po zapadnięciu zmroku Niemcy ponawiali ataki, jednak bezskutecznie. Sukces odniósł natomiast polski zwiad, który zaatakował sztab na tyłach nieprzyjaciela i zdobył mapy z planami niemieckich linii obronnych. Resztę nocy strony wykorzystały na umocnienie swoich pozycji, uzupełnienie zapasów i ewakuację rannych.

Plan na drugi dzień bitwy zakładał ostrzał artyleryjski i atak piechoty wspieranej

czołgami. Pomimo początkowych sukcesów sił polsko-radzieckich, powietrzne ataki niemieckich Ju-87 i Ju-88 unieruchomiły większość czołgów, żołnierzy zaś zmusiły do zaprzestania natarcia. Gen. Berling zarządził wówczas przejście do obrony i umacnianie osiągniętych pozycji. Pod wieczór Polacy podjęli jeszcze raz próbę zdobycia Połzuch i po ciężkiej potyczce udało im się zająć i okopać na stanowiskach w rejonie wsi. Wówczas ze sztabu głównego nadeszła informacja o planowanym zluzowaniu Polaków przez Rosjan.

2. i 3. pułk polski został w nocy zastąpiony przez siły radzieckie, które niebawem rozpoczęły atak, jednak udało im jedynie zdobyć wzgórze 217,6. Podczas kolejnych

dni natarcie kontynuowano, jednak brak rezultatów skłonił 33. armię do skupienia się na umacnianiu zdobytych pozycji. Ten fragment frontu nie zmienił się aż do czerwca 1944 roku, kiedy na Białorusi rozpoczęła się nowa radziecka ofensywa.

Podczas bitwy pod Lenino Niemcy stracili blisko 1,4 tys. żołnierzy, a ponad 320 dostało się do niewoli. Polskie straty według różnych danych wyniosły od ponad 2,8 tys. do ponad 3 tys. osób. Za bohaterstwo w bitwie odznaczono blisko 250 Polaków i prawie 240 Rosjan. AKN

PAP - Nauka w Polsce

Serwis Nauka w Polsce -
www.naukawpolsce.pap.pl

TREASUREmaster





TREASUREpro





TREASUREmaster®

*Profesjonalne
wykrywacze
od 1950*



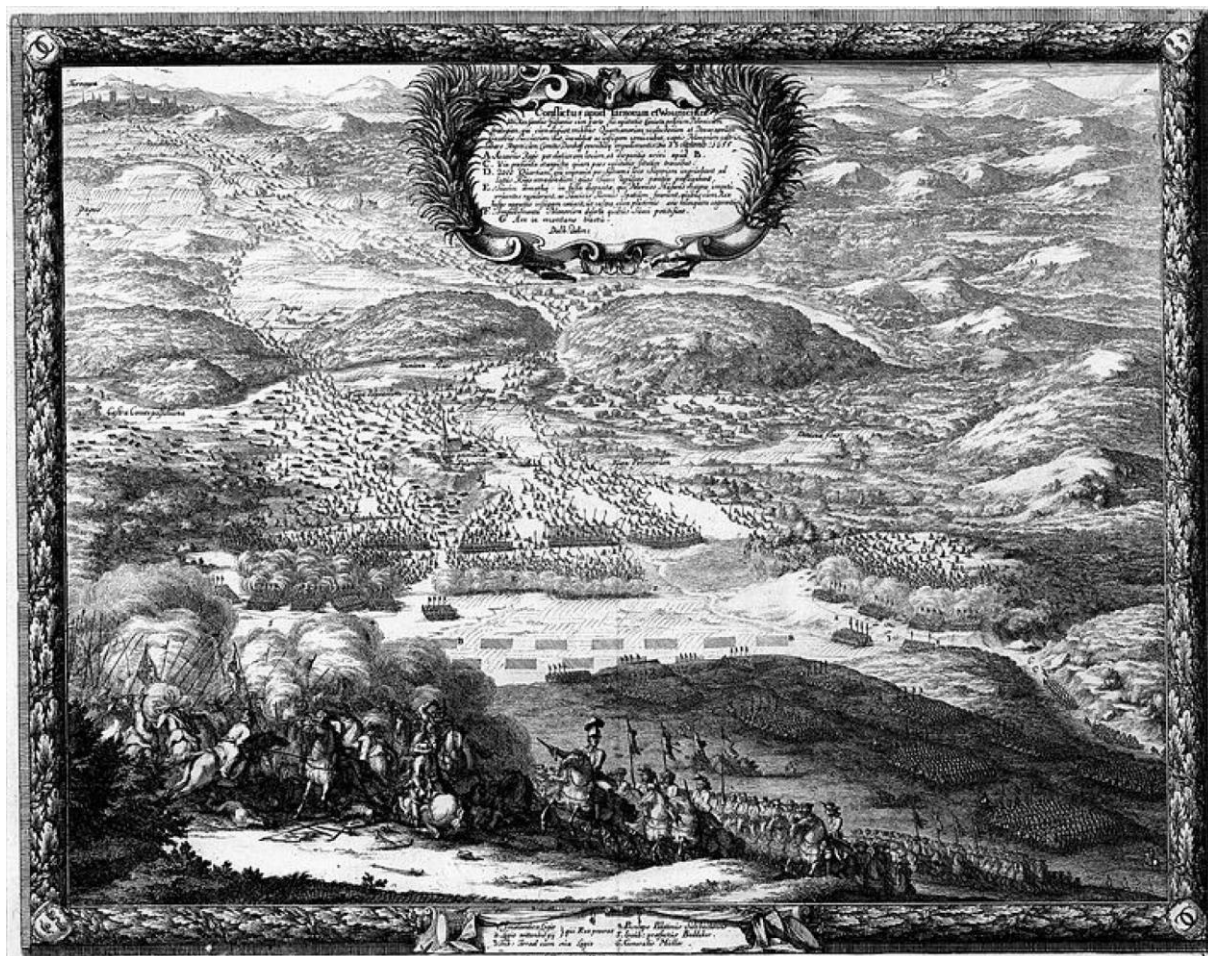
MADE IN
U. S. A.



TREASUREpro

Znakomita jakość w Twoim zasięgu!

Bitwa pod Wojniczem



Podczas gdy trwało oblężenie Krakowa przez armię szwedzką pod dowództwem Arvida Wittenberga, pod Wojniczem w Małopolsce doszło do bitwy, w której Karol X Gustaw pokonał oddziały hetmana polnego koronnego Stanisława Lanckorońskiego połączone z chorągwią hetmana wielkiego koronnego Stanisława Rewery Potockiego.

Lanckoroński wycofał się wcześniej spod Krakowa i przez pewien czas towarzyszył uciekającemu na południe Janowi Kazimierzowi, żeby potem odłączyć się od króla i ruszyć w stronę Tarnowa.

Mikołaj Jemiołowski w Pamiętniku dzieje Polski zawierającym (1648–1679) przybliży okoliczności przemieszczania się oddziałów polskich i opisuje bitwę ze szczególnym podkreśleniem bohaterskiej

postawy księcia Dymitra Wiśniowieckiego: „Wojsko tym czasem z hetmanem polnym częścią pod Opoczmem zmieszane, częścią od niektórych wartogłówów pobuntowane, usłyszawszy o przyjsciu Szwedów pod Kraków, zemknęło ku Wiśniczowi samo w sobie mieszając się, o której mieszaninie i o ustąpieniu wojska wzięwszy wiadomość, król [Karol Gustaw] pod sam Kraków postępuje i piechoty z armatą po klasztorach niedaleko murów lokowawszy i tabor tam zostawiwszy, sam komunikiem [oddziałem jazdy] za wojskiem puszcza się, które pod Wojniczem na przeprawie Dunajca napadłszy, szczęścia swego próbuje. Jakoż i tam płużyło mu, bo lubo z razu pułk X. Dymitra Wiśniowieckiego impet szwedzki mocno wytrzymał i nie mało Szwedów na placu położył (gdzie bez inwidi wielka i odważna pokazała się xiążęca dzielność), jednakże już wojsko zmieszane i do bitwy nieco ochotne, ile przez króla było, za czem mało co albo nic nie posiłkując pułku xiążęcego, ku Tarnowu ustąpiło, nieco z swoich sił straciwszy, którym zwłaszcza pojmanym król szwedzki folgować kazał, a tem się kontentując posła tylko czyli trębacza do wojska wyprawiwszy, perswadując aby mu się dobrowolnie poddali a sam się z wojskiem swoim do piechoty pod Kraków powrócił”.

W początkowej fazie bitwy husaria dowodzona przez Aleksandra Koniecpolskiego i pancerni pod dowództwem Dymitra Wiśniowieckiego rozbili oddział rajtarów Bøddekera, ale potem zostali oni ostrzelani przez ukrytych w wąwozie dragonów i muszkieterów, a w tym samym czasie rajtarzy pod wodzą Karola Gustawa i Sulzbacha zaatakowali z dwóch stron skrzydła polskiej jazdy. Wojsko zaczęło uciekać, zaskoczone dodatkowo przez rajtarów Burhardta Mullera, którzy pojawili się na tyłach polskich oddziałów. Hetman Lanckoroński próbował opanować sytuację, choć o mały

włos nie przypłacił tego życiem. Ocalili go wtedy od śmierci Stefan Bidziński i Wespazjan Kochowski.

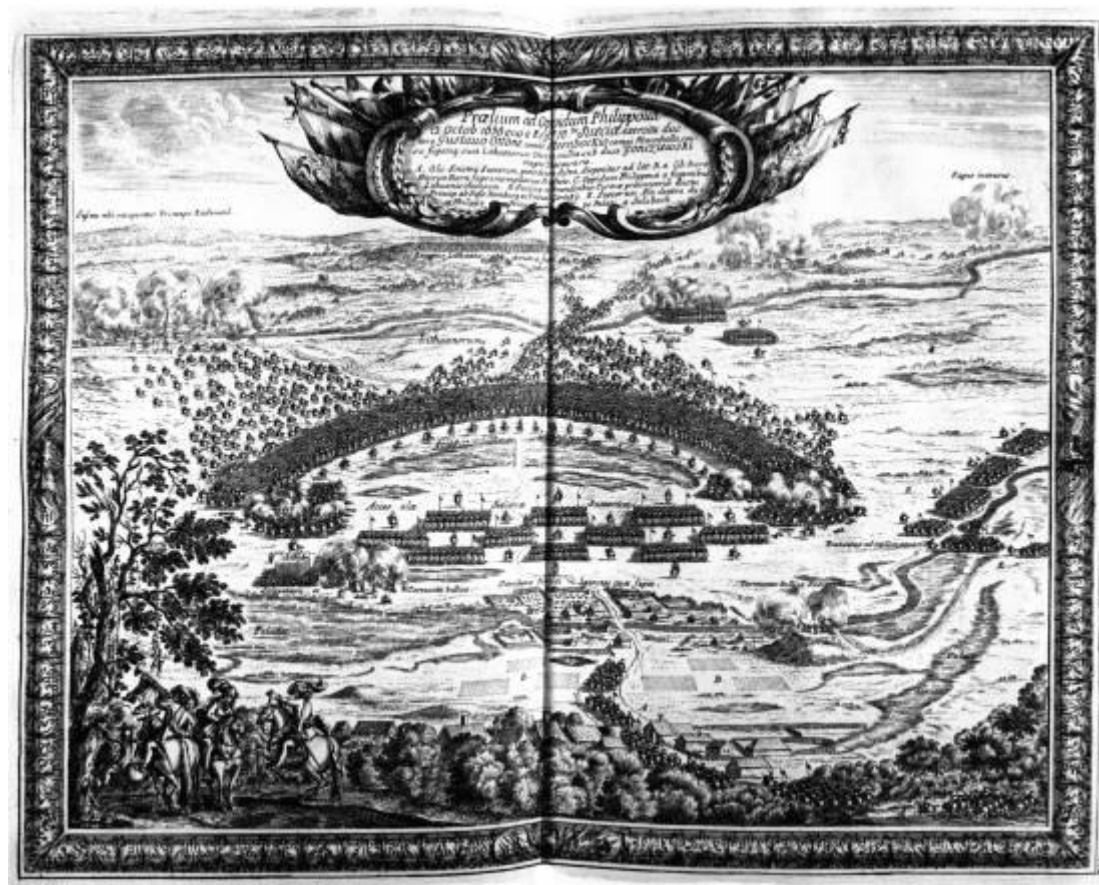
Ten drugi tak opisał to zdarzenie po latach w Historii panowania Jana Kazimierza: „Obaczyli Króla szwedzkiego, szykującego liczne wojsko, zaszedłszy onym tył, że umykać Polakom ciężko było, ile że z armat dużo porażono. Zważyli, że nie mogą wytrzymać, wyprawili przodem wozy i ciężary, aby w Dunajcu rzece uchodzącym przeprawy nie zatrudniały. Zaczekali, nim wozy umknęły: poczęły chorągwie umykać, a potem kto rączego miał konia, umykał, nie mógł Hetman i Półkownicy onych wstrzymać; zaczęli Hetman oponując się Szwedom ledwie nie zginąć, bo go odstąpiło wojsko. Już, już co go Szwedzi mieli wziąć. Przypadłszy Bidziński i Kochowski, autor kroniki, z odważniejszymi rycerzami, wydarli z rąk nieprzyjacielskich i onego uprowadzili; koń jego porażony poległ, ledwo mu drugiego poddali. Szwedzi też nie daleko pędzili, obawiając się zasadzki, kontenci, że pole otrzymali; za przeprawą poczęli się nasi wstrzymywać i zbierać, a nie uchodząc, lecz tylko umykając się do gromady”.

Po bitwie Szwedzi zajęli Wojnicz i Tarnów i zmusili wojsko kwarciane do złożenia przysięgi wierności Karolowi Gustawowi. Wśród osób, które przeszły wtedy na stronę króla Szwecji znaleźli się m. in.: Stanisław Lanckoroński, Aleksander Koniecpolski, Dymitr Wiśniowiecki i Jan Sobieski.

Fot. Miedzioryt, Bitwa pod Wojniczem, grafika duńska/ domena publiczna, [Polona](#).

*Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska.
Pewne prawa zastrzeżone na rzecz Muzeum Historii
Polski*

Bogusław Radziwiłł w niewoli



W „Potopie” jeden z powieściowych szwarczarakterów, książę Bogusław Radziwiłł, został wzięty do niewoli pod Prostkami przez Andrzeja Kmicica. Postać młodego szlachetki jest oczywiście fikcyjna, jednak samo wydarzenie zostało oparte na faktach. Jak było w rzeczywistości?

Będący od dłuższego czasu jawnym stronnikiem Szwecji, koniuszy litewski Bogusław Radziwiłł brał udział w wielu kampaniach przeciwko Rzeczypospolitej. Mimo to po pewnym czasie udało mu się uzyskać amnestię, dzięki czemu szybko został przywrócony do dawnych łask i odzyskał swoją bardzo wpływową pozycję

na dworze króla Jana Kazimierza. Jednym z punktów zwrotnych jego życia była właśnie niewola po bitwie pod Prostkami z 8 października 1656 roku, podczas której przed księciem roztaczano szereg intratnych propozycji, z których mimo wszystko skorzystał dopiero w drugiej połowie 1657 roku.



Bitwa pod Prostkami

Prostki to niewielka miejscowość, leżąca niegdyś w Prusach Książęcych, a dziś w Polsce, w województwie warmińsko-mazurskim, na pograniczu podlaskiego. Podczas potopu Prusy Książęce – będące w unii personalnej z Brandenburgią – były do września 1657 roku sojusznikami Szwecji. W drugiej połowie 1656 roku, już po bitwie pod Warszawą z 28–30 lipca, Prusy oraz Podlasie były zagrożone działaniami niewielkich grup pospolitego ruszenia z Mazowsza, które stawiały zasieki na drogach i niszczyły przeprawy rzeczne. Dlatego też Karol Gustaw wysłał tam w sierpniu Bogusława Radziwiłła wraz z wojskami z poleceniem połączenia się z posiłkami brandenburskimi Georga Waldecka. Do złączenia wojsk doszło 14 września, po czym armia pomaszerowała w głąb Prus, gdzie kierował się również hetman polny litewski Wincenty Gosiewski z tatarskimi posiłkami.

Na początku października Brandenburczycy rozłożyli obóz pod Prostkami. Radziwiłł swoje wojska ulokował w okolicach Rajgrodu. Na wieść o nadchodzących Litwinach i Tatarach, Waldeck 7 października wezwał księcia Bogusława na pomoc. Ten przybył na drugi dzień, 8 października, krótko przed tym, jak zaczęła się bitwa. Radziwiłł

rozstawił swoje szwedzkie oddziały po drugiej stronie rzeki. Pod Prostki miały też dotrzeć spod Ełku posiłki brandenburskie. Waldeck był przerażony faktem, że tam też zmierzają Tatarzy i postanowił więc – wbrew radom Radziwiłła – wyjść z obozu i ruszyć na spotkanie nadchodzących wojsk. Książę miał rację: gdy tylko Brandenburczycy opuścili obwarowany obóz, runęła na nich przednia straż tatarska. Waldeck wycofał swoje oddziały na drugi brzeg rzeki, gdzie stali Szwedzi. Był on jednak kompletnie niedoświadczony, jeżeli chodzi o walki z Tatarami. Nie miał pojęcia, że stosowali oni manewr pozorowanej ucieczki, w którą z łatwością dał się wciągnąć. Przez to Bogusław Radziwiłł został na polu bitwy praktycznie sam, otoczony przez Tatarów dowodzonych przez Gabriela Wojniłowicza.

Warto poświęcić nieco miejsca na relację samego księcia. Barwnie opisał on te wydarzenia w swojej „Autobiografii”:

Obudwóch wojsk potęga na mnie nastąpiła, która mię opasawszy, część ludzi na miejscu położyła, część pobrała, mnie w głowę bardzo rannego, na ziemi już leżącego, chorąży syna Supan Kazy agi grotem przy drzewcu chorągwi swej bardzo długim i ostrym do ziemi przyszpilić chciał, alem porwał casu [przypadkiem] ręką za grot i tak Bóg chciał, że się od drzewca ułamawszy w rękę u mnie został. Wystrzeliłem był jeden pistolet Świniarskiego odstrzeliwając, a drugi mi zmylił, gdym do tego, co mię ciął, ścisnął. Prowadził mię ten ordyniec pół mili przy koniu, nic ze mnie nie biorąc, a gdym ustał, zrzucił chłopca mego, Sułowskiego, z konia, także już wziętego, i mnie z nim wespół nań wsadził. Miałem w kieszeni w worku okopciałym dość bogaty klejnot, który mi po kilka razy Tatarzyn odebrać chciał, alem mu go nie dawał; on też nie mogąc się domyśleć, co w worku było, i rozumiejąc, jako mi potem powiedział, że to były relikwije, abo do

nabożeństwa służące rzeczy, nie brał mi go.

Poza Bogusławem Radziwiłłem Tatarzy schwytali także wielu żołnierzy i oficerów szwedzkich.

Niewola

Tuż po bitwie książę znalazł się w obozie tatarskim. Możliwe, że doszło do pewnych szwedzko-tatarskich rokowań w sprawie wykupu jeńców, Bogusław Radziwiłł był z nich jednak wyłączony. Został on odebrany Tatarom, zapewne na rozkaz Gosiewskiego bądź nawet Jana Kazimierza, przez Gabriela Wojniłłowicza: „Gdy mnie ten Tatarzyn prowadził, poznał mię pacholik z wojska koronnego z pułku pana Wojniłłowicza, który o tym usłyszawszy, że mnie wzięto, we czterdziestu koni przypadłszy, opończą na mnie rzucił i gwałtem mnie Tatarom odjął” (B Radziwiłł, *Autobiografia...*). Ordyńcy nie mieli błędnego pojęcia, kim jest jeden z pojmanych przez nich ludzi. Dopiero po pewnym czasie dowiedzieli się, kogo się przypadkiem pozbyli, tracąc szansę na wysoki okup, który mogliby bez problemu wytargować. Tatarzy podjęli starania o odzyskanie Radziwiłła, niestety dla nich bezskuteczne. Nie rezygnowali jednak z dalszych prób, o czym będzie szerzej mowa nieco później.

Poza samą niewolą Bogusław Radziwiłł nie mógł narzekać na warunki, w jakich się znalazł. Gosiewski otoczył swojego jeńcę szeroką opieką, zadbał, by opatrzone rany księcia (Radziwiłł został pod Prostkami poważnie ranny w głowę, co odbijało się na jego zdrowiu jeszcze przez kilka lat), po czym przekazał go pod opiekę jego dalszemu krewnemu, Michałowi Kazimierzowi Radziwiłłowi. Bogusław obiecał mu wkrótce, że po uwolnieniu przejdzie na stronę polską.

Książę podejmował nawet pewne kroki w tym celu. Był świadomy faktu, że na

dworze Jana Kazimierza w zasadzie nie ma sojuszników, chociaż – w przeciwieństwie do kuzyna Janusza (zm. 1655) – nie zamykał sobie drogi odwrotu poprzez całkowite zerwanie stosunków z dworem. 12 października Wincenty Gosiewski wydał dla księcia dokument (asekurację), w którym gwarantował mu amnestię, bowiem – jak pisał hetman – Bogusław Radziwiłł obiecywał przejście na stronę Jana Kazimierza oraz zwrot kontrolowanych przez siebie podlaskich zamków. Gosiewski mógł to uczynić, bowiem król przekazał mu wcześniej pozwolenie na udzielanie „przebaczenia” osobom chcącym powrócić na stronę Jana Kazimierza.

17 października Radziwiłł osobiście wydał inne pismo, w którym oficjalnie deklarował się jako stronnik króla polskiego. Było to zapewne podyktowane chęcią przyspieszenia procesu udzielania księciu amnestii i wyjścia z niewoli jako stronnika królewskiego. Co ciekawe, w pismach książę informował Jana Kazimierza, chęć zostania jego sojusznikiem nie wynikała z tego, że został pojmany, lecz z jego własnych, wcześniejszych jeszcze zamiarów, o których jednak nie poinformował monarchy.

Oprócz złożenia tej deklaracji, książę podjął też dalsze starania o uwolnienie. W tym celu wydał w połowie października (dokładna data jest nieznana) instrukcję dla nieznanego z imienia Wojniłłowicza (zapewne nie był to znany z bitwy pod Prostkami Gabriel Wojniłłowicz), w której podał mu argumenty, jakich powinien był użyć w rozmowie z Janem Kazimierzem na temat uwolnienia. Radziwiłł ponownie zadeklarował się jako sojusznik polskiego Wazy. Bardzo sprytnie wytłumaczył fakt, że do tej pory „ociągał się” ze zmianą stronnika – Szwedzi mieli pomóc Radziwiłłowi w odzyskaniu rodzinnego majątku w Birżach. Jako że przez mniej więcej rok przebywał u boku Karola

Gustawa, posiadał wiedzę na temat szwedzkich wojsk, której przekazanie zaoferował królowi. Prosił także o pełną amnestię, nie tylko Jana Kazimierza, lecz i czołowych dworzan, w tym swojego zacieklego wroga – Krzysztofa Paca. Bogusław Radziwiłł oskarżał go o doradzanie Janowi Kazimierzowi otrucie go, bądź zgładzenie podczas sztucznie wywołanej bójki żołnierskiej. Pewne za to jest, że Krzysztof Pac dążył do pozbawienia Radziwiłła wszelkich rodowych dóbr. Wszczął nawet postępowanie sądowe przeciw niemu, jednak nie wiadomo, z jakim skutkiem.

Tymczasem Tatarzy nadal upominali się o Radziwiłła, konieczne więc było ustosunkowanie się do żądań ordyńców. Wydawać by się mogło, że łup przeszedł im koło nosów, jednak udało im się wytargować korzystne warunki. Negocjacji podjął się sam Bogusław Radziwiłł, z pomocą Michała Kazimierza oraz chorążego wołkowyskiego Jana Jacka Ogińskiego. Za 12 200 talarów wykupiono księcia z rąk tatarskich. Za kolejne 2 200 talarów Tatarzy opuścili obóz Gosiewskiego. Dodatkowo w zamian za Radziwiłła ordyńcy otrzymali zakładnika. Był nim klient Radziwiłłów birżańskich Piotr Gnoiński. Pojawiły się głosy, że pozbycie się księcia było przyczyną odejścia Tatarów i spustoszenia przez nich Mazowsza, jednak bardziej prawdopodobne jest, że mieli zbyt duży jasyr, którego nie mogli utrzymywać, przebywając na wojnie.

W cytowanej już „Autobiografii” Bogusław Radziwiłł odnotował interesujące zdarzenie, mianowicie zamach na swoją osobę: „Odpocząwszy sobie wojsko litewskie kilka dni, do Filipowa się ruszyło. Mnie w lektyce niesiono, a pacholikowie, w lesie się zasadziwszy na mnie, zabić mię w lektyce mieli, których pułk książęca J.M. pana podczaszego [Michała Kazimierza Radziwiłła] fortuito [przypadkiem] natrafiwszy, nie wiedząc

nic o ich intencji, rozproszył”. Trudno zweryfikować to wydarzenie, gdyż nie potwierdza go żadne inne źródło. Książę Bogusław bardzo często opisywał różne próby zamachów przeprowadzanych na jego życie, więc możliwe, że w tym miejscu po prostu popuścił wodze fantazji.

Na wolności

Okazja do uwolnienia się pojawiła się sama. Opuszczony przez Tatarów Wincenty Gosiewski został zniemacka zaatakowany przez wojska szwedzko-brandenburskie 22 października pod Filipowem i poniósł porażkę. W podmokłym lesie nieopodal wspomnianej miejscowości, w opuszczonym taborze został znaleziony właśnie Bogusław Radziwiłł. Na jednej z rycin szwedzkiego architekta Erika Dahlbergha dotyczącej potyczki pod Filipowem nad lasem widnieje napis: „sylva ubi recuperatur Princeps Radziwil”, tj. „las, w którym odzyskano księcia Radziwiłła”.

Po obozie Gosiewskiego rozeszły się ciekawe plotki. Mianowicie hetman polny miał przyłożyć rękę do tego, że Bogusław Radziwiłł znalazł się na wolności. Za dowód mógłby tu służyć list Konstantego Kotowskiego do Aleksandra Hilarego Połubińskiego, w którym nadawca informuje o innym liście, wysłanym 22 października przez Radziwiłła do Gosiewskiego. Książę koniuszy, wypuszczony pod jakimiś warunkami, obiecał jakoby hetmanowi polnemu, że nie wystąpi przeciw Janowi Kazimierzowi oraz zerwie stosunki ze Szwedami. Gosiewski w zamian miał zadbać o wystawienie przez Jana Kazimierza asekuracji, tj. dokumentu zabezpieczającego wolność i prawa księcia, mającej ułatwić mu powrót na dwór i uzyskanie amnestii. Innymi słowy, Wincenty Gosiewski miał wstawić się za Bogusławem Radziwiłłem u Jana Kazimierza.

Sam Radziwiłł potwierdził w memoriale „Informacja księcia Bogusława Radziwiłła do traktowania o amnestyj”, że faktycznie tego dnia wysłał list do Gosiewskiego, jednak nie wspomniał, by hetman miał jakkolwiek udział w jego uwolnieniu. Jakkolwiek by się nie stało, Gosiewski na tym skorzystał: w listopadzie poprzez pośrednictwo Radziwiłła uzyskał dla swojej żony paszport od Karola Gustawa, a na samym koniuszym wymógł prawdopodobnie obietnicę oddania mu Birż i Kiejdan, być może właśnie w zamian za uwolnienie. W każdym razie uwolnienie Radziwiłła przez Gosiewskiego to jedynie hipoteza, postawiona przez Sławomira Augusiewicza.

Niewola tak wysoko postawionego magnata nie przeszła bez echa również w Prusach. Wielki Elektor Fryderyk Wilhelm – nota bene krewny Bogusława Radziwiłła – zaniepokoił się jego losem. Wysłał do Gosiewskiego posłańców z 3 000 talarów okupu, nie zdążyli jednak dotrzeć do celu przed uwolnieniem księcia – Radziwiłł spotkał ich, kiedy podążał do Królewca.

Bogusław Radziwiłł nie przestrzegał do końca obietnic złożonych Michałowi Kazimierzowi i Gosiewskiemu. Nadal opowiadał się po stronie szwedzkiej, z tym że skłaniał się bardziej ku Brandenburgii. Karol Gustaw nadał koniuszemu tytuł feldmarszałka (według relacji Radziwiłła już wcześniej pełnił on taką funkcję u boku króla szwedzkiego, tyle że nieformalnie) i 80 000 talarów, czego Radziwiłł nie przyjął. Szwedów trzymał się do lipca 1657 roku (kiedy Karol Gustaw opuścił Rzeczpospolitą i udał się do Danii), po czym został stronnikiem brandenburskim. Po traktatach welawsko-bydgoskich, zawartych 19 września i potwierdzonych 6 listopada 1657 roku, przeszedł razem z Fryderykiem Wilhelmem na stronę Jana Kazimierza. Uzyskał wtedy też upragnioną amnestię dla siebie.

Losy zakładnika

Na zakończenie warto wspomnieć krótko o losach zakładnika, wymienionego na Bogusława Radziwiłła – Piotra Gnoińskiego. W niewoli przebywał on do 1662 roku. Księżę koniuszy najwyraźniej „zapomniał” o uwolnieniu go. Sam Gosiewski jeszcze na początku 1657 roku upominał Radziwiłła, że przez zwłokę naraża na szwank reputację swoją, hetmana i Michała Kazimierza Radziwiłła. Krewni zakładnika również gorąco zabiegali o jego wykupienie, urządzając sługom koniuszego awantury na ulicach. Gnoiński zabiegał o łaskę u księcia Bogusława, jednak bezskutecznie. Z jego listów wręcz wylewała się fala goryczy i skargi na niedolę tatarskiej niewoli, a także na zapomnienie i niewdzięczność Radziwiłła. Pisał do niego również sam Subchan Ghazi aga, by „wybił sobie z głowy” próby uwolnienia Gnoińskiego za pośrednictwem Jana Kazimierza, jakkolwiek miałoby ono wyglądać. Groził także, że okaleczy zakładnika. Skutek odniósł list Subchana Ghazi agi z sierpnia 1661 roku, w którym odwołał się do honoru i sumienia księcia – w lipcu 1662 roku Piotr Gnoiński powrócił na Podlasie. Jego krewni nadal jednak dochodzili swoich praw sądownie – starali się o wypłacenie rekompensaty za przedłużony pobyt Gnoińskiego w tatarskiej niewoli. Cała sprawa zakończyła się dopiero w roku 1685 (już po śmierci Bogusława Radziwiłła – zmarł w 1669 roku), kiedy to córka księcia koniuszego, Ludwika Karolina, przekazała Gnoińskiemu w ramach rekompensaty za cierpienia doznane w niewoli wynagrodzenie pieniężne oraz deputat wypłacany w zbożu.

Bibliografia

- *Augusiewicz Sławomir, Prostki 1656, Bellona, Warszawa 2001.*
- *Kalicki Bernard, Bogusław Radziwiłł koniuszy litewski. Szkic historyczny,*

Czcionkami drukarni „Czasu”, Kraków 1878.

- *Płosiński Jacek, Potop szwedzki na Podlasiu, Infort Editions, Zabrze, 2006.*
- *Radziwiłł Bogusław, Autobiografia, wyd. Tadeusz Wasilewski, PIW, Warszawa 1979.*
- *Ryciny Erika Dahlbergha z dzieła Samuela Pufendorfa „De rebus a Carolo Gustavo Sueciae Rege...”, pochodzące ze zbioru Biblioteki Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego w Bydgoszczy [wystawa rycin], [w:] Kujawsko-Pomorska Biblioteka Cyfrowa, 23 stycznia 2012 [dostęp: 12 maja 2013], <<http://kpbk.umk.pl/dlibra/docmetadata?id=3242>>.*
- *Wasilewski Tadeusz, Zarys dziejów Bogusława Radziwiłła, [w:] B. Radziwiłł, Autobiografia...*

- *Żojdź Karol, Jan Mierzeński, klient i rezydent Bogusława Radziwiłła w latach 1656–1665, Napoleon V, Oświęcim 2012.*
- *Żywot Jaśnie Oświeconego Księcia Bogusława Radziwiłła. Z rękopisów hr. T. Działyńskiego, wyd. Antoni Popliński, Księgarnia Walentego Stefańskiego, Poznań i Trzemeszno 1840.*

Redakcja: Roman Sidorski

Autor: Szymon Sojka

Miejsce pierwotnej publikacji – Portal historyczny Histmag.org (CC BY-SA 3.0)



Elekcja Augusta III Sasa



Po śmierci Augusta II Mocnego Rzeczypospolita stanęła przed koniecznością wyboru nowego władcy. Znaczna część szlachty wraz ze swoimi magnackimi przywódcami chciała kandydata polskiego, który nie byłby uzależniony od mocarstw ościennych, coraz bardziej bezceremonialnie poczynających sobie z polskim państwem. Już w uniwersałach zwołujących konwokację prymas Teodor Potocki sugerował, aby pozbawić cudzoziemców możliwości kandydowania. Oczywiście wszystkich zwrócone były na Francję,

która deklarowała poparcie dla popularnego byłego króla Stanisława Leszczyńskiego.

Tymczasem o koronie polskiej poważnie myślał również elektor saski i królewicz polski Fryderyk August, syn zmarłego monarchy. Udało mu się pozyskać poparcie dworów rosyjskiego i austriackiego. Jeszcze niedługo wcześniej Moskwa i Wiedeń nie chciały widzieć na tronie polskim ani saskiego księcia, ani Leszczyńskiego, teraz jednak zrozumiałwszy, że ewentualność wyboru

tego ostatniego jest w najwyższym stopniu niepożądana, zdecydowano się porzucić niepewną kandydaturę portugalskiego infanta Don Emanuela i poprzeć Wettyna, silnie go od siebie uzależniając. Zawarto specjalny układ, w którym w zamian za poparcie Fryderyk August uznawał prawa arcyksiężnej Marii Teresy do dziedziczenia tronu po ojcu cesarzu Karolu VI oraz zgadzał się na przekazanie lenna kurlandzkiego Ernestowi Bironowi, faworytowi carowej Anny.

Wkrótce okazało się, że Sas ma możliwość pozyskania niemałego poparcia wśród polskiej szlachty. W sierpniu rozpoczął się sejm elekcyjny. Przybyły do Warszawy Stanisław Leszczyński został jednomyślnie wybrany na króla przez zgromadzonych na polu elekcyjnym posłów, jednakże jego przeciwnicy znajdowali się wówczas po praskiej stronie Wisły i nie uczestniczyli w głosowaniu na Woli. Trzy dni później Leszczyński opuścił stolicę i udał się do Gdańska, przestraszony nadciągającymi wojskami rosyjskimi. Wówczas,

korzystając z precedensu podwójnych elekcji w polskiej historii, posłowie na praskim Kamionku pod osłoną rosyjskich oddziałów dokonali wyboru Fryderyka Augusta, który przyjął imię Augusta III. W następstwie wybuchła dwuletnia wojna o polską sukcesję. W jej wyniku, po uroczystej koronacji Augusta III na Wawelu i ucieczce przegranego Leszczyńskiego, doszło do pacyfikacji nastrojów w Rzeczypospolitej i pogodzenia się zwaśnionych stron i stronnictw magnackich.

M. G.-K.

Ilustracja: dziewiętnastowieczna litografia przedstawiająca króla Augusta III Sasa, [Polona](#), CC-BY-NC.

*Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska.
Pewne prawa zastrzeżone na rzecz Muzeum Historii Polski*



Józef Kopeć

- śladami Beniowskiego na Kamczatce



Józef Kopeć, choć sam w dzienniku napisał, że urodził się w 1762 roku, według nowszych ustaleń historyków przyszedł na świat prawdopodobnie cztery lata wcześniej. Pochodził z powiatu pińskiego (obecnie na Białorusi) z wielodzietnej rodziny drobnoszlacheckiej o korzeniach rusko-litewskich. Edukację na elementarnym poziomie odebrał od swego ojca Stanisława. Kopeć wstąpił do wojska w wieku 16 lat jako zwykły żołnierz – tak więc niezależnie od przyjętej daty narodzin było to już po pierwszym rozbiore naszego kraju. Służył w II Brygadzie Kawalerii Narodowej Wojsk Wielkiego Księstwa Litewskiego. W roku 1791 był już porucznikiem i dowódcą szwadronu. Podczas przegranej wojny z Rosją w 1792 roku uczestniczył w kampanii litewskiej, w wyniku czego dostał się do niewoli. Dla Polski porażka ta skończyła się drugim rozbiorem w roku następnym. Kopeć tymczasem, zmuszony złożyć przysięgę na wierność carycy Katarzynie II (1729–1796), został wcielony razem ze swoim oddziałem do wojska rosyjskiego.

Finis Poloniae

Poinformowany o planowanym wybuchu powstania kościuszkowskiego, wówczas już major Kopeć, rozpoczął przygotowania do kolejnej walki. Korzystając z nieobecności dowódcy brygady, w kwietniu 1794 roku przeprowadził koncentrację oddziałów pod Owruchem (do 1793 roku znajdował się w województwie kijowskim, w ramach drugiego rozbioru został zagarnięty przez Rosję). Przebijając się z innymi żołnierzami przez rosyjskie pozycje, Kopeć dotarł na zachód do wciąż polskiego Krzemieńca, a następnie za Bug, gdzie połączył się z innymi oddziałami powstańczymi. Za swą postawę w maju tego roku otrzymał awans na stopień wicebrygadiera (odpowiednik pułkownika).

W następnym miesiącu w przegranej bitwie pod Chełmem lubelskim przeprowadził dwukrotną szarżę na artylerię rosyjską. Natomiast w lipcu, podczas bitwy pod Gołkowem, ocalił ze swoją brygadą korpus generała Józefa Zajączka (1752–1826), późniejszego namiestnika Królestwa Polskiego.

Potem przez sześć tygodni walczył z Prusakami na przedpolach Warszawy, działając na terenie dzisiejszych dzielnic Wola i Bemowo. Po odparciu wojsk nieprzyjaciół brygada Kopcia we wrześniu zdobyła miejscowość Błonie z zapasami żywności i amunicji pruskiej. Za swoją odwagę otrzymał od przywódcy powstania, Tadeusza Kościuszki (1746–1817), awans

upadła miesiąc później. W roku następnym doszło do trzeciego rozbioru Polski.

Droga na zesłanie

Rannego Kopcia wieziono z częścią pojmanych wyższych oficerów do Kijowa. W taki oto sposób zapisał to wydarzenie w swoim dzienniku:

Stan nasz był okropny i więcej jak nędzny. Odarci aż do bielizny, w nagości prawie przyrodzonej musieliśmy znosić zimno poranków jesiennych i sły. Ten stan nieszczęśliwy cierpiących za ojczyznę żołnierzy wzbudził litość w sercach naszych nieprzyjaciół. A że miało wojsko rosyjskie wielkie w stosach leżące skóry bydła porzniętych zapasy, dano te nam skóry, które acz brudne i mokre, służyły za niejaką ochronę przeciw zimnu i słońcu (J. Kopeć, Dziennik Józefa Kopcia, brygadiera wojsk polskich, Warszawa-Wrocław 1995, s. 76).

Po dotarciu na miejsce brygadier został odłączony od swoich ziomków i trzymany był przez kilka dni pod strażą w odosobnieniu. Swe gorsze od innych Polaków położenie zawdzięczał złamaniu przysięgi na wierność carycy Katarzynie, przez co uznano go za rosyjskiego zdrajcę.

Następnie w połowie grudnia 1794 roku wciąż niewyleczonego Kopcia przewieziono kibitką do więzienia w Smoleńsku.

Cztery tygodnie upłynęły w takim stanie rzeczy, gdzie odosobniony jeniec, obok siebie miałem zbrodniarzy, a przy sobie okrutną straż, grożącą mnie zawsze surowszym traktowaniem rządu (J. Kopeć, Dziennik..., s. 79–80).

Potem rozpoczęła się seria przesłuchań przed rosyjskim sądem wojskowym. Sędziowie poruszeni patriotyczną postawą Polaka i jego podupadłym zdrowiem zamienili mu ciemną celę na salę



na stopień brygadiera (generała) i złoty pierścień z napisem „Ojczyzna Obrońcy Swemu”.

Po przegranej bitwie pod Maciejowicami w październiku 1794 roku ranny Kopeć został wzięty ponownie do niewoli rosyjskiej. Wówczas także pojmano naczelnika powstania, a sama insurekcja

sejmikową, gdzie co prawda dochodziło światło, ale było bardzo zimno. Jako iż znajdował się wówczas w bardzo ciężkim stanie, przeniesiono go w końcu do cieplejszego, murowanego domu. Następnie w połowie 1795 roku skazano go na zesłanie. Bez żadnej informacji Kopeć został wywieziony kibitką przez Moskwę i Kazań do Tobolska.

W ciągu tego jechania na Tobolsk po różnych koloniach znajdowało się bardzo wiele Polaków, którzy jeszcze od Barskiej Konfederacji mieszkańcy tych smutnych krain wielu rodzin zostali szefami. Ach, jakże to czułe przypomnienie! Obrońcy Ojczyzny zostali członkami ludu okrytego cechą kary i hańby (J. Kopeć, Dziennik..., s. 88).

Dalej ledwo żywy Polak transportowany był na wschód przez Niżnieudinsk do Irkucka. Tam dopiero, dzięki ludzkim odruchom komendanta miasta, opatrzył go lekarz i dał mu lekarstwa na czas zesłania, a także kawę i cukier. Komendant z kolei wręczył Kopciowi futro ze skóry jeleniej.

Dwie osoby cnotliwe dowiodły mnie, ile wykonanie rozkazów najsurowszych pogodzić się może z ludzkością należną nieszczęśliwym. One mnie dowiodły, iż można wypełnić obowiązek urzędu bez zgwałcenia prawa człowieka (J. Kopeć, Dziennik Józefa Kopcia, brygadiera wojsk polskich, s. 95).

Z Irkucka brygadier przewieziony został na północny wschód do Kireńska, skąd

statkiem z towarami na sprzedaż popłynął również w tym kierunku rzeką Leną do Jakucka. Stamtąd razem z karawaną kupiecką doszedł na południowy wschód do Ochocka, miasta portowego nad Morzem Ochockim. Była połowa 1796 roku.

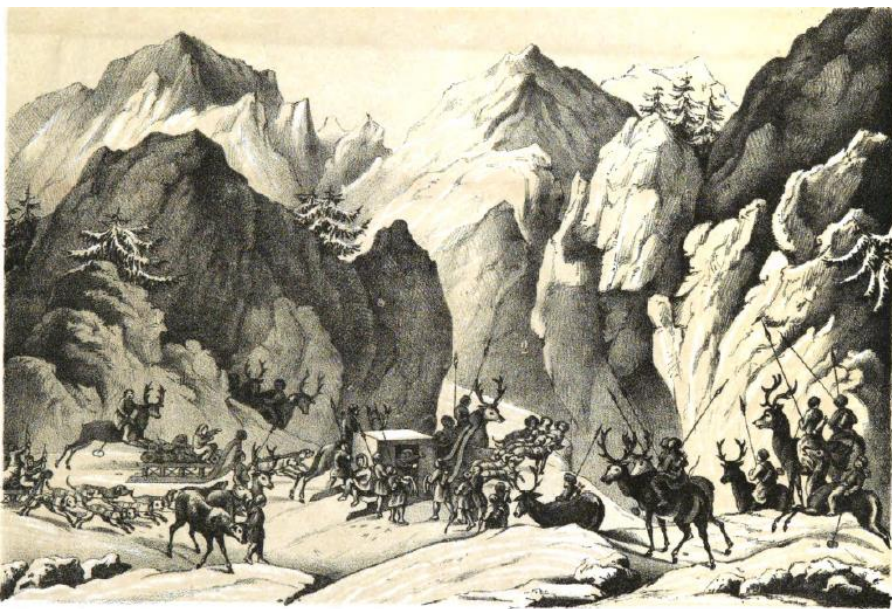
Przeprowa przez morze

Z Ochocka Kopeć, załadowany na statek kupiecki, płynął przez morze na Kamczatkę – półwysep o powierzchni około 470 tysięcy kilometrów kwadratowych na wschodzie Syberii oddzielający Morze Ochockie od Morza Beringa. Odkryty został przez Rosjan jeszcze w XVII wieku, a na początku wieku następnego wcielony do ich państwa. Ludność miejscową, zwaną wówczas Kamczadałami (później zaczęto określać w ten sposób także ludność



napływową i mieszaną), podbito ostatecznie do połowy XVIII wieku. Kamczatka była miejscem trudno dostępnym, dlatego też zsyłano tam przede wszystkim najbardziej niebezpiecznych przestępców politycznych zamieszanych w przewroty pałacowe, zamachy, a także potencjalnych pretendentów do tronu i zdrajców ojczyzny.

Kopeć najpierw zatrzymał się na kilka dni w osadzie Bolszerieck, założonej na początku XVIII wieku po zachodniej stronie półwyspu na jego południowym krańcu. Tam dowiedział się o podróżniku i awanturniku węgiersko-polsko-słowackiego pochodzenia, Maurycym Beniowskim (1746–1786), konfederacie barskim, który dostał się do niewoli rosyjskiej w 1769 roku i został zesłany na Kamczatkę w roku następnym. Właśnie w Bolszeriecku miał zawiązać spisek, aby w 1771 roku opanować miasto i uciec z półwyspu na porwanym statku *Święty Piotr i Paweł*.



Skoro się tylko dowiedzieli mieszkańcy, że był Polak, opowiadać mnie zaczęli historią całą Beniowskiego naszego, którego w tym miejscu nazywają Augustem Polakiem. Każdy mieszkaniec na pamięć umie szczegóły dotyczące się rzeczonoego Augusta. Sposób jego życia, przebywania i oddalenie się były to przedmioty dziennej rozmowy mojej z mieszkańcami, którzy, będąc świadkami naoczными wszystkiego, co w ową porę działo się, wspierali się świadectwem dwóch Kamczadałów przy mnie na straży

będących, których Beniowski dla niedostatku majtków z wielą innymi zabrawszy z sobą, miał przy swym boku i w czasie swej żeglugi, i w czasie pobytu w Paryżu, a którzy później powrócili do swojej ojczyzny (J. Kopeć, *Dziennik...*, s. 109–110).

Hrabia Beniowski, zatrzymując się m.in. na Tajwanie, dopłynął do Makau, gdzie sprzedał skradziony statek i kupił za to dwie mniejsze jednostki. Następnie kierował się na Madagaskar i do wybrzeży Afryki, wzdłuż których dotarł do Europy. Na dworze francuskim wywarł takie wrażenie, że dla tego kraju właśnie miał stworzyć i zarządzać kolonią na Madagaskarze (1774–1776) i, według swojej relacji, zostać obwołanym królem przez mieszkańców wyspy. Ostatecznie jednak Beniowskiego odwołano z urzędu, przez co dalej tułał się po świecie. Zmarł, próbując odbić wyspę z rąk żołnierzy francuskich. Część z towarzyszy Beniowskiego, z którymi dotarł do Francji, po ułaskawieniu ze strony carycy Katarzyny powróciła na Kamczatkę.

Po kilku dniach statek z Kopciem na pokładzie wyruszył w dalszą drogę, okrążając półwysep od południa. Mijając Wyspy Kurylskie, wpadł jednak w wielki sztorm.

Okręt po kilku chwilach posuwa się ku brzegom, które na szczęście nasze były miałkie, płaskie i piaszczyste. Kapitan, jeszcze szukając ratunku, każe zarzucać kotwice, lecz już za późno, pędzi woda okręt z kotwicami, wrzuca na głębokość tylko kilku sążni, dalej nieco uderza się gmach strudzony całą wagą swoją o ziemię i zarywszy się w piasku, wytrzymuje natarcie powtarzane bałwanów, od których siły nieporównanej rwą się liny i pękają maszty; rozlatanie się kilkudziesięciu

beczek z wodą i z rybą soloną, które przybite były wielkimi g[w]óździami żelaznymi i powrozami przywiązane, wszystko się tr[z]aska, pęka, rwie, łamą ludzie nogi, ręce; wdziera się woda do środka okrętu; odnosi raz jeszcze nawałność okręt od brzegu i znowu na brzeg wrzuca, powtarza jeszcze raz toż samo; skaczą ludzie w tym miotaniu zepsutego gmachu w nadziei dostania się na brzeg; jedni się ratują, drudzy pod okrętu spód padłszy giną; na koniec wpada ostatni już raz na brzeg zarył się w ziemię, wali się na stronę i tak zostaje na mieliźnie, niezupełnie będąc wywróconym (J. Kopeć, Dziennik..., s. 116–117).

Kopeć przeżył ucieczkę ze statku na brzeg jednej z Wysp Kurylskich dzięki pomocy majtka, który wcześniej został przydzielony do pilnowania Polaka. Razem, korzystając z wielkich gwoździ okrętowych i smoły, dostali się na maszt statku, a następnie zeskoczyli do wody. Z pomocą mieszkańców wyspy – Ajnów – szybko naprawiono statek i ruszono w dalszą drogę.

Pobyć na Kamczatce

Po przeżyciu jeszcze pożaru na statku Kopeć dopłynął ostatecznie do celu swego zesłania – Ust'-Primorskij (osada założona w 1731 roku, od 1890 roku znana jako Ust'-Kamczatsk) – ponad 7 tysięcy kilometrów od domu. Komendant miasta ulokował go w typowym tam miejscu zamieszkania – jurcie, obok własnego domu i wyznaczył dwóch Kamczadałów jako jego strażników (nie chciano powtórki sytuacji z Beniowskim). Komendant okazał się być dobrym człowiekiem, często pomagał Polakowi: przynosił mu jedzenie, nauczył go czytać po rosyjsku i pozwalał na spacery trzy razy w tygodniu wzdłuż oceanu. Kopeć jednak nie miał tam szczęścia do opieki medycznej – wciąż schorowany był „leczony” m.in. przez upuszczanie krwi.

Przez dwa lata (1796–1798) podróżnik prowadził systematyczne badania wśród miejscowego ludu, tworząc swoją kolekcję etnograficzną i przyrodniczą. Na Kamczatce Polak miał okazję także poznać rosyjskiego żeglarza Wasyla Olesowa, który odwiedził Japonię w ramach ekspedycji Adama Laxmana w latach 1792–1793.

Po skończonej ekspedycji i dopełnieniu danych sobie od Rządu rozkazów, Ollesow odbiwszy od lądu Japonii, powrócił szczęśliwie do portu Niżnej Kamczatki. Ten szanowny człowiek, poznawszy się ze mną i przyszedłszy do dość ścisłej i rzetelnej przyjaźni, na pamiątkę wieczystą darował mi kopię karty geograficznej Cyplu Azji, własnej roboty, którą stosownie do map Koka [Jamesa Cooka (1728–1779) – przyp. M.B.], La Paru [Jean-François de La Pérouse (1741–1788) – przyp. M.B.] mapy, hiszpańskiej oraz własnych postrzeżeń ułożył i dokładnie oznaczył. Oprócz tak drogiego upominku i nieocenionego dla mnie źródła zatrudnienia w moim stanie odosobnienia od polerowanego świata, wiele mi potrzebnych i nader szacownych udzielił wiadomości (J. Kopeć, Dziennik..., s. 160).

Mapa ta przedstawiała wschodnią część Syberii, północny Pacyfik z Cieśniną Beringa i północno-zachodnie wybrzeża Ameryki Północnej. Brygadier zabrał ją (lub sporządzoną przez siebie kopię), powracając na ziemie polskie.

Pod koniec zesłania Polak był w bardzo słabej kondycji psychicznej. Rozważał nawet możliwość ucieczki psim zaprzęgiem przez zamrożone morze w kierunku północno-wschodnim, do Przylądka Dzieźniowa na wschodnim krańcu Półwyspu Czukockiego, gdzie oczekiwалby na jakiś statek angielski lub hiszpański. Jednak we wrześniu 1798 roku przybyła do niego wiadomość o amnestii ogłoszonej przez nowego cara Pawła I

(1754–1801), wydanej po objęciu władzy pod koniec 1796 roku.

Powrót z wygnania

Z powodu zamarzniętego zimą Morza Ochockiego brygadier nie wracał do Ochocka statkiem, lecz specjalnie do tego celu zorganizowaną wyprawą psimi zaprzęgami, zamarzniętym morzem i lądem. Była to niebezpieczna trasa, ponieważ biegła z Półwyspu Kamczackiego na północ przez terytorium wciąż niepodporządkowanych woli rosyjskiej Czukczów.

Po skończonych pożegnaniach, które malowały prostotę ludzkości i gościnność tego oddalonego ludu, a uczciwość i grzeczność Komendanta, zbliżyłem się ku karawanie naszej, w której było ludzi około trzydziestu, psów zaprzężonych przeszło sto [sanie Kopia ciągnęło 13 psów – przyp. M.B.] i część jeleni. Cały ten bagaż, skoro tylko z miejsca ruszył, sprowadzony najprzód był z góry na brzegi zamarzłe Oceanu, wiadomo bowiem, iż posada nadbrzeżna wisi prawie nad Oceanem (J. Kopeć, *Dziennik...*, s. 180–181).

W trakcie podróży karawana została osaczona przez kilkudziesięciu wracających z łowów Czukczów. Sytuację uratował tłumacz wyprawy, który poinformował ich, że celem tej podróży jest odstawienie do Ochocka ułaskawionego Polaka. *Po oddaniu wzajemnych podarunków, nad spodzianie nasze szczęśliwieśmy się rozstali, dążąc w dalsze nasze przeznaczenie* (J. Kopeć, *Dziennik...*, s. 188–189). Następnie, kierując się już na południowy zachód, podróżnicy przejechali przez terytorium Tunguzów do Ochocka w połowie 1799 roku, gdzie Kopeć spędził dwa miesiące.

W Ochocku brygadier musiał oddać chciwemu komendantowi miasta znaczną część swej zebranej podczas tułaczki

kolekcji etnograficznej. Z tego miasta Kopeć zabrał się wraz z karawaną kupiecką na zachód do Jakucka. Stamtąd dotarł do Irkucka, przebywszy teren zajęty przez Buriatów po części Leną, a po części pocztą konną. Na miejscu został przyjęty z wielkim szacunkiem w domu generał-gubernatora miasta Christopha Wilhelma Treydena (1734–1809). Warto zauważyć, że oficerowie rozmawiali po polsku.

Następnie Kopeć kontynuował powrót pocztą konną na zachód, przez Tobolsk i Kazań do Moskwy, gdzie spędził kolejne dwa miesiące i spotkał się z tamtejszym generał-gubernatorem Iwanem Pietrowiczem Sałtykowem (1730–1805), spod którego komendy uciekł z brygadą w 1794 roku, gdy ten dowodził wojskami rosyjskimi na Podolu i Wołyniu. Rosjanin przypomniał mu o jego wyczynie, mówiąc, że wiele przez to musiał wycierpieć, nie spotkały jednak za to Polaka żadne przykrości.

Wreszcie w 1800 roku Kopeć powrócił przez Smoleńsk i Mińsk do krewnych w Wilnie, wzbudzając sensację swoim zimowym strojem kamczadalskim.

Będąc już na łonie mojej rodziny, krewnych i przyjaciół, nie trudziłem się o nic, jak tylko o to, jakby przyjść prędzej do zdrowia. Dano mi doktorów i wszelką posługę. Usilność w przywróceniu mi zdrowia, szczególnie mojego krewnego [Ksawerego – przyp. M.B.] Chomińskiego, nie była bez skutku, zacząłem nieco polepszać się, a po dwóch miesiącach czasu już byłem w stanie ozdrowienia, w którym bawić się mogłem i już myśleć nawet o sposobie dalszego życia (J. Kopeć, *Dziennik...*, s. 231).

Przez następne lata Kopeć był gościem wielu znamienitych Polaków, m.in. Tadeusza Czackiego (1765–1813) w Porycku i książąt Czartoryskich w Puławach, w obydwu miejscach pozostawiając resztę swej kolekcji

etnograficznej (niestety wszystkie te przedmioty zaginęły). Warto dodać, że Polak przyjęty został do wileńskiej loży masońskiej „Gorliwy Litwin”. Po śmierci swego kuzyna wywalczył w 1817 roku na 50 lat prawo do sukcesji majątku Luszniew na Wileńszczyźnie (obecnie na Białorusi), będącego własnością rodziny Kopciów od początku XVIII wieku. Ożenił się z Anielą Szmyderówną, z którą miał syna Józefa Alberta. Zapewne po roku 1815 (w okresie Królestwa Kongresowego) car Aleksander I (1777–1825) nadał mu stopień generała wojsk polskich.

Józef Kopeć zmarł w Luszniewie prawdopodobnie w 1827 roku (choć według późniejszych przypuszczeń mogło to być nawet w latach 30. XIX wieku). Został pochowany w kaplicy grobowej Kopciów należącej do miejscowego kościoła. Majątek odebrano rodzinie zgodnie z warunkami nadania w 1867 roku. Kaplica rodowa popadła w ruinę. Potomkowie Kopcia żyją do dziś, w niepodległej Polsce.

Dziennik i mapy Kopcia

Po powrocie z zesłania podróżnik przystąpił do opracowania i wydania swych wspomnień. Ich pierwszy fragment ukazał się w 1821 roku w „Gazecie Literackiej” pt. *Obyczaje kamczackie (Wyjątek z rękopism polskich)*. W formie książkowej autobiografia Kopcia wydana została już po jego śmierci. W wersji krótszej po raz pierwszy opublikowano ją we Wrocławiu w 1837 roku pt. *Dziennik podróży Józefa Kopcia przez całą wzdłuż Azję, lotem od portu Ochocka przez Wyspy Kurylskie do Niższej Kamczatki, a stamtąd na powrót do tegoż portu na psach i jeleniach*. Pełna wersja po raz pierwszy ukazała się w Berlinie w 1863 roku pt. *Dziennik Józefa Kopcia, brygadiera wojsk*. Miejsce pierwotnej publikacji – Portal historyczny Histmag.org - CC BY-SA 3.0

polskich z placu batalii maciejowickiej przez wojska rosyjskie wziętego, a później w Niższej Kamczatce osadzonego, (...) z rozmaitych dorywczych not sporządzony z własnoręcznymi ilustracjami autora. Warto dodać, że zawierała ona wspomnianą wyżej mapę Kopcia. W kolejnych latach obydwie wydania wielokrotnie wznawiano. Ostatnie wydanie pełnej wersji, bardzo dobrze opracowane naukowo przez Antoniego Kuczyńskiego i Zbigniewa Wójcika, pochodzi z 1995 roku (niestety bez reprodukcji mapy).

Książka Kopcia jest wszechstronnym opisem Kamczatki zawierającym informacje o florze, faunie, geografii, klimacie i mieszkańcach półwyspu – Kamczadałach. Poprzednim polskim źródłem o tym miejscu, choć ze zrozumiałych względów znacznie skromniejszym, były *Pamiętniki* Maurycego Beniowskiego (pierwsze wydanie, angielskie, ukazało się w 1790 roku, pierwsze polskie tłumaczenie powstało zaś siedem lat później, natomiast pełne polskie tłumaczenie ukazało się dopiero w 1995 roku). W mniejszym stopniu Kopeć wspominał także o innych ludach syberyjskich, m.in. o: Czukczach, Jakutach, Tatarach, Tunguzach i Buriatach. Przedstawił też najnowsze europejskie odkrycia geograficzne na obszarze północnego Pacyfiku i kontakty Rosjan z Japończykami. Interesował się ponadto losem Polaków zesłanych na Syberię.

Dwie wersje mapy sporządzonej przez Kopcia (jedna dedykowana Aleksandrowi I), które znajdowały się w Bibliotece Narodowej w Warszawie, niestety zaginęły.

Mateusz Będkowski

Żydzi w Królestwie Polskim za Kazimierza Wielkiego



Żydzi zaczęli osiedlać się na ziemiach polskich już w XI w. Przybyli przede wszystkim z zachodu Europy. Pierwszym i zarazem najważniejszym dokumentem wydanym dla regulacji statutu mieszkańców żydowskich w Polsce był Statut kaliski, nadany Żydom wielkopolskim w 1264 r. Król Kazimierz rozszerzył go na inne ziemie. Nie wszyscy wiedzą, że władca ten zapisał się w pamięci kolejnych pokoleń nie tylko jako ten, który zastał Polskę drewnianą, a

zostawił murowaną, lecz także jako dobroczyńca Żydów. Czy rzeczywiście tak było?

Do rozpowszechniania takiego poglądu przyczyniła się legenda o Esterce "żydowskiej kochance króla, rzekomej matce jego dwóch synów: Niemierzy i Pełki. Jan Długosz pisze, że król miał za jej namową udzielić Żydom licznych przywilejów. Jednakże całkowicie niewiarygodne jest połączenie przez Długosza sprawy przywileju Kazimierza

Wielkiego dla Żydów polskich z wspomnianym romansem, gdyż kronikarz jako datę powstania statutu podaje 1356 r. Tak naprawdę do dziś nikt nie wie, czy owa Estera żyła naprawdę.

Z Kazimierzem Wielkim kojarzy się często jeszcze postać Lewka, kupca i finansisty "najbardziej wpływowego Żyda krakowskiego, który był nadwornym bankierem kolejnych królów polskich, zaczynając od Kazimierza Wielkiego. Król powierzył mu zarząd nad mennicą królewską i dał żupy solne w dzierżawę. Wokół osoby krakowskiego bankiera krążyły legendy. Miał on być właścicielem czarodziejskiego pierścienia, dzięki któremu dorobił się takiej fortuny i który umożliwiał mu wywieranie wpływu na króla.

Stosunki Kazimierza Wielkiego z Żydami układały się poprawnie. Pozostaje w geście biografów króla dochodzenie do prawdy i sprawdzenie, jaki wpływ na to miała jego piękna kochanka żydowska Estera oraz interesy z finansistami żydowskimi. Jedno jest pewne, Kazimierz Wielki był jednym z najbardziej sprzyjających interesom żydowskim władców.

I. Ł.

Rozmowa z prof. Hanną Zaremską

Z Kazimierzem Wielkim powszechnie się kojarzy sprowadzenie Żydów do Polski. Ile jest w tym prawdy?

Nie znam ani jednej książki - syntezy ani nawet popularnej pracy dotyczącej historii Żydów - która datowałaby przybycie Żydów do Polski na czasy Kazimierza Wielkiego. Przybycie Żydów do Polski z okresem panowania Kazimierza Wielkiego związał Jan Długosz. We fragmencie dotyczącym romansu króla z Żydówką Esterą zapisał, że dzięki słabości monarchy

do niej, wyraził on zgodę na osiedlenie się Żydów w Polsce, z czym w parze szły - według Długosza - wymuszone na Kazimierzem Wielkim przez Esterę przywileje, zapewniające im pewną swobodę funkcjonowania w Polsce.

A jakie są prawdziwe początki Żydów na ziemiach polskich?

Materiał źródłowy, przede wszystkim responsy dynastii, potwierdza funkcjonowanie i obecność kultur żydowskich na obszarach Europy Środkowej. Myślę, że ludność żydowska prawie na pewno pojawiła się w Czechach w X wieku, a w Polsce w XI. Jak sądzę, początek kolonii żydowskich szedł w parze z funkcjonowaniem tych obszarów jako części szlaków handlowych, po których podróżowali Żydzi. Ludność ta pomagała w obsłudze tych szlaków. Trzeba mieć świadomość, że mówimy o wyjątkowo ważnym handlu międzynarodowym na obszarach od Półwyspu Iberyjskiego po granice imperium bizantyjskiego.

A

Kraków?

Według badaczy, istnieje zwyczaj związany z Krakowem respons rabinacki z połowy XI wieku, z tym że - jak zwykle w literaturze hebrajskojęzycznej - istnieją wątpliwości co do rozszyfrowywania terminów topograficznych i geograficznych. Wygląda na to, że w Krakowie już w XI wieku funkcjonowała kolonia żydowska, choć o jej rozmiarach nic się nie da powiedzieć. Jeśli tak było, to na pewno kolonia ta stanowiła etap na szlaku łączącym gminy niemieckie, Pragę, Kraków i Przemyśl - co do którego też mamy respons, potwierdzający wczesną kolonię.

Ludność żydowska napływająca z Europy Środkowo-Wschodniej zajmowała się handlem. Jakie były inne jej zajęcia?

W najwcześniejszym okresie rzeczywiście zajmowali się handlem - niewolnikami, ale także skórą oraz bronią. Natomiast w okresie późniejszym, wraz z zamieraniem wielkiego handlu i powstaniem kolonii na miejscu -funkcjonujących w Polsce - widać wyraźnie początki funkcjonowania Żydów jako uczestników aktywności kredytowej. To potwierdza zjawisko uczestnictwa Żydów w mennictwie, czego dowodem są tzw. brakteaty z inskrypcjami hebrajskimi, czyli cienkie, jednostronne monety, na których widnieją napisy w języku hebrajskim. Obydwa zagadnienia - handel i działalność kredytową - omawia pierwszy spisany statut ludności żydowskiej, wydany dla Wielkopolski przez Bolesława Pobożnego w 1264 roku.

Kazimierz Wielki przeszedł do historii jako władca szczególnie przyjazny Żydom. Co można powiedzieć o nadawanych przez niego Żydom przywilejach?

Kazimierz Wielki niewątpliwie jako pierwszy uregulował sytuację prawną ludności żydowskiej, zatwierdzając dla kolejnych dzielnic swojego zjednoczonego królestwa przywilej Bolesława Pobożnego, a więc potwierdzenie przywilejów, czyli aktów, które określały status prawny i swobodę działalności ekonomicznej ludności żydowskiej - w ramach szerokiej akcji regulowania statusu prawnego, wydawania dokumentów prawnych dla całego Królestwa. Trzeba mieć świadomość, że dotyczy to bardzo niewielkiej grupy ludności. Blisko sto kolonii żydowskich istniejących pod koniec XV wieku liczyło nie więcej niż pięć-sześć tysięcy ludzi. Tymczasem za panowania Kazimierza Wielkiego kolonii mogło być od 9 do 12. Król wyjątkową opieką otaczał kolonię stołeczną, czyli krakowską, w której sprawy ingerował osobiście, jeszcze przed zatwierdzeniem przywileju Bolesława Pobożnego dla Wielkopolski, Małopolski i ziem ruskich, które znalazły się w obrębie

państwa polskiego za panowania tego władcy. Kazimierz Wielki wydał między innymi przywilej dotyczący sposobów zaopatrzenia gminy krakowskiej w żywność kosztowną.

Warto pamiętać, że panowanie Kazimierza Wielkiego w Polsce przypada na jeden z najczarniejszych okresów w historii Europy - czas pogromów w czasie i po epidemii "czarnej śmierci", czyli po 1348 roku. Późniejsza fala tej epidemii, jeżeli w ogóle dotknęła Polskę, to tylko w niewielkim stopniu. Wygląda na to, że Kazimierz Wielki przeprowadził ludność żydowską przez ten ciężki czas w sposób, który nie kosztował jej tak wiele jak w przypadku innych, a zwłaszcza niemieckich obszarów diaspory aszkenazyjskiej, dla których był to czas największego średniowiecznego kryzysu.

Jak wygląda dotycząca Żydów legenda Kazimierza Wielkiego?

Opinia o przychylności Kazimierza Wielkiego wobec Żydów podzielana była zarówno przez środowiska chrześcijańskie, jak choćby właśnie Długosza, jak i samych Żydów. Legenda Kazimierza Wielkiego nie jest dla historyków całkowicie jasna. Jej elementem - zarówno w wydaniu Długosza, jak i w późniejszych wersjach żydowskich, czyli jidysz, które funkcjonują do XIX wieku - jest niewątpliwie to, że w tych przekazach Kazimierz pokazany jest jako fundator, powiedziałabym, obecności żydowskiej w Polsce. Natomiast pamięć o Bolesławie Pobożnym prawie nie istnieje.

Z samą legendą są kłopoty. Pierwszy przekaz znajduje się w kronice Długosza, powstałej dużo później - ten fragment kroniki został napisany nawet w połowie XV wieku. Jest to legenda o romansie króla z żydówką Esterą, z którą władca miał dzieci: chłopcy przeszli przez konwersję na chrześcijaństwo a córki pozostały przy wierze matki. Najciekawsze

w tej legendzie jest jej wielowiekowe trwanie. Po całej Polsce rozsypane są przeróżne miejscowości, z którymi wiąże się Estera, na przykład Kazimierz Dolny.

Jeżeli Długosz wszystko wymyślił - czego nie da się powiedzieć - imię Żydówki jest niezwykle ciekawe. Wydaje się, że jej postać została w jakiś sposób skonstruowana na wzór biblijnej Estery, czyli Żydówki, która uratowała życie swego ludu, wstawiając się za nim przed perskim królem. Jest to bardzo ważna dla kultury żydowskiej opowieść, wspominana co roku w czasie żydowskiego święta Purim. Jeżeli Estera - jakiegokolwiek imię naprawdę nosiła - była wybawicielką ludności żydowskiej w średniowiecznej Polsce, opowieść o niej byłaby zrozumiała, tak jak opowieść o biblijnej Esterze i jej konwersji. Jakie inne możnaby znaleźć logiczne wytłumaczenie tego, że Żydówka dokonująca konwersji, czyli wyrzekająca się judaizmu, staje się żydowską bohaterką?

Pierwszy po Długoszu przekaz legendy - prawdopodobnie przynajmniej w części mógł być powielony za kronikarzem - to kronika Davida Gansa, wydana w Pradze w 1595 roku, która powtarza historię o romansie Kazimierza Wielkiego z Esterą.

Kazimierz Wielki wraz z Esterą stanowi parę, która funkcjonuje w micie założycielskim kolonii Żydów w Polsce. To uzupełnia wizję Kazimierza Wielkiego jako króla przyjaznego Żydom.

Czy znana jest inna postać pochodzenia żydowskiego związana z królem Kazimierzem Wielkim?

Niewątpliwie jest nią Lewko. To lepiej znana nam postać - finansista żydowski czasów Kazimierza Wielkiego: bankier, wierzyciel nie tylko Kazimierza Wielkiego, a później również Ludwika Węgierskiego, lecz także Władysława Jagiełły. O Lewku wiemy jeszcze, że uzyskał od monarchy indywidualny przywilej protekcyjnej ochrony dla siebie i swojej rodziny. Był także zaangażowany w działalność kopalń soli w Wieliczce i Bochni.

Ilustracja: dziewiętnastowieczna litografia przedstawiająca króla Kazimierza III Wielkiego, [Polona](#), CC-BY-NC.

*Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska.
Pewne prawa zastrzeżone na rzecz Muzeum Historii Polski*



Układ w Kiejdanach



Rzeczpospolita Obojga Narodów oraz stanowiąca jej część Litwa przeżywała w połowie XVII wieku wielki kryzys, zagrażający samemu jej istnieniu. Od 1648 roku trwało powstanie kozackie pod wodzą Bohdana Chmielnickiego, ogarniające swoim zasięgiem poza Ukrainą także południowe obszary Wielkiego Księstwa Litewskiego.

W 1654 roku doszło do wojny z Moskwą, która doprowadziła w ciągu roku do zajęcia całej wschodniej połaci kraju wraz z Wilnem. Próby powstrzymania nowego wroga podejmowane głównie przez hetmana wielkiego litewskiego Janusza Radziwiłła nie przyniosły trwałych efektów, a jedynie nowe straty. Do tego doszły bunt nieopłacanych od dłuższego czasu żołnierzy, łupiących teraz własny kraj. A kiedy wydawało się, że nieszczęścia Litwy sięgnęły apogeum, pod koniec czerwca 1655 roku nadeszły wieści od strony Inflant o ataku ze strony Szwecji. Tak rozpoczynał się słynny potop.

Grupa litewskich magnatów, dygnitarzy, prałatów i wojskowych skupiona wokół księcia hetmana Janusza Radziwiłła stanęła wokół dylematu: co zrobić? Czy wystąpić zbrojnie przeciwko nowemu najeźdźcy, na dodatek bez żadnego już wsparcia ze strony wojsk koronnych, zaangażowanych po części na Ukrainie przeciwko Kozakom, a po części w Wielkopolsce przeciwko najazdowi szwedzkiemu, czy też usiłować w jakiś

sposób wybrnąć z sytuacji, zawierając układ z Karolem Gustawem. Zdecydowano się na negocjacje, a w znacznej mierze przyczyniły się do tego wieści spod wielkopolskiego Ujścia, gdzie 25 lipca doszło do kapitulacji całej prowincji i uznania zwierzchnictwa króla szwedzkiego.

Tymczasem oddziały skandynawskie wkroczyły na Żmudź, zajmując Kowno. Prowadzone od końca tego miesiąca negocjacje ze szwedzkim wodzem Magnusem de la Gardie nabrały tempa, a na ich ostateczny efekt duży wpływ miały wieści dochodzące z frontu „polskiego” – opanowanie przez Szwedów Warszawy, kapitulacja po krótkim oblężeniu Krakowa, ucieczka króla Jana Kazimierza na Śląsk oraz masowe przechodzenie szlachty i resztek wojska na stronę Karola Gustawa. W tej sytuacji podpisano 20 października 1655 roku słynny układ w Kiejdanach.

Na mocy „traktatu” Wielkie Księstwo Litewskie, a ściślej mówiąc jego część niebędąca jeszcze pod okupacją moskiewską, ani nietrwająca w wierności przy Janie Kazimierzu, przyjmowała protekcję króla szwedzkiego, zrywając unię z Polską. Karol Gustaw miał zostać wielkim księciem litewskim i doprowadzić do wyzwolenia pozostałych ziem litewskich spod okupacji Moskwy. Choć układ nie przewidywał żadnych zmian ustrojowych ani związanych z polityką wyznaniową, dla wszystkich było oczywiste, że dominującą pozycję będzie sprawować szwedzki namiestnik, nie zaś litewscy sygnatariusze traktatu. Traktat podpisali, poza Januszem Radziwiłłem, także hetman polny Wincenty Gosiewski, biskup żmudzki Piotr Parczewski, wojewoda wendeński Mikołaj Korff, pisarz wielki Jan Mikołaj Stankiewicz, kasztelan żmudzki Eustachy Kierdej oraz ponad tysiąc stu przedstawicieli szlachty, duchowieństwa i wojska litewskiego.

Do dziś nie ma wśród historyków zgody, jaki był charakter układu kiejdańskiego: czy był on aktem zdrady, zapowiedzią późniejszej o ponad sto lat Targowicy, czy też próbą ratunku państwa wobec nieuniknionej katastrofy, jedyną, na którą w ówczesnej konfiguracji politycznej i strategicznej można było sobie pozwolić. Jakiegokolwiek były jednak nadzieje Janusza Radziwiłła i jego otoczenia, to okazały się one płonne. Próba wciągnięcia Szwecji do wojny z Moskwą ostatecznie nie powiodła się, a powrót Jana Kazimierza do kraju i wojna domowa na Litwie, zakończona zwycięstwem zwolenników utrzymania unii z Polską, uczyniły część polityczną układu niewykonalną. Janusz Radziwiłł, umierając dwa miesiące później, pozostawił po sobie opinię zdrajcy, choć pozostaje kwestią dyskusyjną, czy jest to opinia sprawiedliwa.

A.F.

Ilustracja: Daniel Schultz, Portret Janusza Radziwiłła (1612–1655), Wikimedia, domena publiczna.

Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska. Pewne prawa zastrzeżone na rzecz Muzeum Historii Polski

Zawieszenie broni w wojnie polsko-bolszewickiej



Polsko-bolszewickie negocjacje pokojowe zaczęły się jeszcze w sierpniu 1920 roku, kiedy Armia Czerwona zbliżała się do wrót Warszawy. Nieoczekiwane zwycięstwo Polaków w bitwie warszawskiej 13–25 sierpnia zmieniło położenie polskiej delegacji w Mińsku.

Miesiąc później natomiast, w wyniku bitwy niemeńskiej rozegranej w dniach 20–26 września, po raz kolejny udało się rozbić wojska Michaiła Tuchaczewskiego, uprzedzając jego kontrofensywę i przypieczętowując polskie zwycięstwo (na froncie południowym 31 sierpnia rozbito 1 Armię Konną Siemiona Budionnego, która

znalazła się w odwrocie). Armia Czerwona cofała się na całym froncie, a Włodzimierz Lenin nie miał pewności, jak szybko będzie można uzupełnić ją o nowe jednostki. (Rosja bolszewicka, podobnie jak Polska, była wyczerpana wojną, a ponadto na jej obszarze trwały jeszcze nie wygaszone konflikty wewnętrzne,

choćby konflikt z ostatnim „białym” dowódcą walczącym z bolszewikami, gen. Piotrem Wranglem, zajmującym pozycje na Krymie).

Sytuacja groziła ponownym zdobyciem przez Polaków Mińska i Kijowa oraz ponowną próbą urzeczywistnienia – niezwykle niebezpiecznego dla bolszewickiej Rosji – planu federacyjnego. 21 września negocjacje w sprawie rozejmu przeniosły się do Rygi. 23 września przewodniczący bolszewickiej delegacji Adolf Joffe zaproponował polskiej delegacji na czele z Janem Dąbskim ustalenie granicy nieco na wschód od linii Curzona, chociaż instrukcje z Moskwy mówiły o granicy na linii niemieckich okopów z korektą na niekorzyść Polski na północy. Wywołało to zaskoczenie polskiej delegacji (która zażądała dłuższej przerwy w rokowaniach), a także Geоргija Cziczeryna, który uznał takie posunięcie Joffego za błąd. W istocie Polacy ciągle byli w pościgu za bolszewikami, a przerwa w rokowaniach osłabiała pozycję negocjacyjną Joffego.

Do podpisania porozumienia polsko-bolszewickiego doszło dopiero 5 października 1920 roku. Polskie kręgi wojskowe naciskały na maksymalne przeciągnięcie rokowań, by wypracować jak najlepsze podstawy do dalszej samodzielnej akcji sojuszniczych armii – białoruskiej Stanisława Bułak-Bałachowicza, ukraińskiej Symona Petlury oraz towarzyszących im oddziałów rosyjskich Borisa Sawinkowa. Również naczelnik państwa Józef Piłsudski ostrzegał przed przedwczesnym zawieraniem rozejmu, sugerując, że bolszewikom nie można ufać. Intencje większości przywódców partyjnych, podkreślających wyczerpanie narodu, były jednak odmienne. Wincenty Witos, mimo dostrzeganych braków w preliminarzach, dopingował Jana Dąbskiego (również działacza ludowego) – „Podpisuj! Pokój

twój bardzo dobry”.

Generał Edward Rydz-Śmigły w rozkazie do żołnierzy 2 Armii pisał: „Jesteśmy w końcowym okresie wojny, wymaga się przeto od wojsk jak największego wysiłku. Przymaszerowanie kilometra jest równoznaczne z rozszerzeniem o kilometr granic naszej Ojczyzny”. Polskie oddziały z poświęceniem pokonywały nawet do 60 kilometrów dziennie, odzyskując, już po podpisaniu preliminarzów pokojowych 12 października, Wilejkę oraz Mińsk (umęczeni mieszkańcy Mińska witali owacyjnie swoich wyzwolicieli), z którego – zgodnie z postanowieniami rozejmu – musiały się następnie wycofać nocą z 18 na 19 października. Linia, na którą miały się wycofać wojska polskie w wyniku rozejmu, stała się podstawą do wytyczenia granicy wzdłuż rzek Dźwina – Słucz – Zbrucz. Podzieliła ona tym samym obszar dawnej wschodniej Rzeczypospolitej na dwie części, czego konsekwencje widoczne są po dziś dzień. Białorusini i Ukraińcy współcześnie mieszkający po dawnej polskiej stronie tej linii odznaczają się większym niż ich rodacy ze wschodu poczuciem odrębności od Rosjan oraz własnej tożsamości.

Ł.D.

Ilustracja: Delegacja polska na rokowania o zawieszeniu broni i zawarciu pokoju z Rosją Sowiecką w 1920 r. Od lewej siedzą: Władysław Kiernik, gen. Mieczysław Kuliński, Jan Dąbski, Stanisław Grabski, Leon Wasilewski. Stoją: Michał Wichliński, Witold Kamieniecki, Norbert Barlicki, Adam Mieczkowski, Ludwik Waszkiewicz. Źródło: [Wikimedia](#), domena publiczna.

*Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska.
Pewne prawa zastrzeżone na rzecz Muzeum Historii
Polski*

Mikołaj Rej



Rozmowa z prof. Januszem M. Maciuszką

Pamięć o działalności Mikołaja Reja jest powszechnie, a przy tym z gruntu niesprawiedliwie zawężana do jego twórczości pisarskiej, a i to raczej ze względu na jego prekursorską rolę w operowaniu językiem polskim w literaturze niż przez wzgląd na różnorodność i wartość samych jego tekstów. Stąd nasuwa się pytanie: jaką wartość ideową mają jego dzieła? Co stanowiło istotę jego działalności?

Na pewno nie możemy sprowadzać działalności Reja tylko do pisarstwa, bo był on również działaczem gospodarczym i politycznym. To wielokrotny uczestnik sejmów i rozgrywek politycznych, a dzięki licznym procesom zasłużył się również dla rozwoju wymiaru sprawiedliwości. Jednak w ujęciu podręcznikowym pozostaje pisarzem, który skupił swe zainteresowania na moralistyce. Pomijam tu początki jego twórczości, które nie są dobrze znane, ponieważ najprawdopodobniej nie wszystkie jego utwory się zachowały. Typową cechą epoki było to, że moralistyka była wówczas religijna. Dla Reja ówczesną moralistykę religijną

najlepiej wyrażały idee reformacyjne, stąd też zapewne jego akces do reformacji. Bez wątplenia Rej jako pisarz, teolog i myśliciel był przede wszystkim moralistą. To był etyk, nauczyciel życia. Być może zasługuje na miano nauczyciela Polski, *praeceptor Poloniae* - na wzór nadanego Melanchtonowi tytułu *Preceptor Germaniae*.

Jakie było znaczenie jego działalności dla początków i kierunku reformacji w Polsce?

Na rozwój reformacji w Polsce teksty Reja miały wpływ nierówny i w pewnym sensie ograniczony. Przede wszystkim trzeba wspomnieć o *Postylli*, która była tekstem przełomowym. Wielu późniejszych kaznodziejów - zarówno ewangelicko-reformowanych, jak i rzymskokatolickich - naśladowało czy rozwijało myśl i stylistykę Reja. Grzegorz z Żarnowca, Jakub Wujek, Piotr Skarga czy Paweł Gilowski - wszyscy oni kontynuowali styl i metody Nagłowiczana. *Postylla* jest dziełem najważniejszym. Natomiast inne jego pisma teologiczno-reformacyjne, może z wyjątkiem pieśni, prawie bez wyjątku kończyły karierę na jednym wydaniu. To chyba oznacza, że współcześni Reja bardzo niechętnie słuchali, że coś, co oni lubią, jest szkodliwe czy naganne moralnie. Wydaje się, że wpływ Reja jako moralisty został ograniczony przez pewne cechy szlacheckie. Już wtedy wytwarzają się podstawy sarmatyzmu. Rej zdawał się wyczuwać, że ma on cechy negatywne, ale z własnej pozycji stanowej nie mógł się w pełni zdobyć na głębszą krytykę tych cech. Można powiedzieć, że Rej był czytany, ale nie był słuchany. Czerpano z jego dzieł raczej uciechę niż praktyczną naukę. W tym sensie Rej poniósł fiasko.

Do kogo właściwie były adresowane jego teksty? Czy były pisane z myślą o elicie intelektualnej, czy też o szerszych kręgach odbiorców?

"Grupę docelową" stanowiło prawdopodobnie górne dziesięć procent stanu szlacheckiego, które umiało czytać. Byli to ludzie pochodzący przede wszystkim z kulturowo przodującej Małopolski. To tam Rej szukał swojego odbiorcy. W sumie było to jakieś kilka, a w skali kraju kilkanaście tysięcy osób. Nie jest to wiele, była to jednak w tamtych czasach grupa wpływowa - ludzie, którzy nadawali ton działalności literackiej, kulturalnej i politycznej. Nie pisał więc Rej dla szaraczek czy osób nieważnych. Często jednak traktowano jego twórczość jako *par excellence* literaturę piękną, źródło doznań estetycznych, umożliwiające też obcowanie z żartem językowym. Natomiast Rejem jako nauczycielem nie przejmowano się zbyt mocno. Na pewno nie był jedynym moralistą dostępnym ówczesnej opinii publicznej. Możliwe, że Małopolanie woleli słuchać starożytnych nauczycieli życia niż nowomodnego współbrata szlachcica. Być może Seneka mógł mieć na nich większy wpływ i jego właśnie woleli słuchać, ponieważ czasy, o których pisał, przeminęły. Tymczasem Rej odnosił się do ówczesnych realiów. Czasem łatwiej odnieść się do prawd wiecznych w sposób niezobowiązujący niż do własnego środowiska w sposób konkretny.

Dlaczego właściwie Rej zaczął pisać po polsku? Jaki był społeczny odbiór tego - jak można powiedzieć - swego rodzaju eksperymentu?

Legenda mówi, że Rej nauczył się pisać po polsku tylko dlatego, że nie chciało mu się uczyć łaciny. Współczesne badania pokazują jednak, że Rej wcale takim niedoukiem w dziedzinie łaciny nie był - znał ją lepiej, niż się to dawnym badaczom wydawało. Prawdopodobnie uznał za niewłaściwe, że w czasach, gdy jego państwo próbuje się modernizować i na nowo zdefiniować, a za granicą mówią po czesku, niemiecku, francusku czy włosku,

w oficjalnej Polsce mówi się po łacinie. Reja musiało naprawdę drażnić, że kręgi oświecone uważały łacinę za wytworniejszą niż język rodzimy. Prawdopodobnie doszedł do wniosku, że tam, gdzie upowszechniany jest język pospolity, język naturalny, narody zyskują tożsamość, spójność i znaczenie. Nie chodzi tu o język naturalny w sensie lingwistycznym, ale o język "domowy", używany od dziecka w rozmowach z rodzicami i rówieśnikami. Czemu wejście w dorosłość i chęć zrobienia kariery miałyby zmuszać człowieka do mówienia na co dzień w języku obcym zamiast po polsku? Na Reja wpłynęła też zapewne reformacja, która zalecała posługiwanie się językiem zrozumiałym. Jednak motywacja religijna z pewnością nie była ani jedynym, ani nawet najważniejszym powodem wyboru języka polskiego.

Prof. Janusz M. Maciuszko - teolog i historyk, profesor Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej w Warszawie, autor m.in. książek *Konfederacja warszawska 1537 roku. Geneza, pierwsze lata obowiązywania* (1984); *Mikołaj Rej. Zapomniany teolog ewangelicki z XVI w.* (2002).

K. G.

Ilustracja: dziewiętnastowieczna litografia przedstawiająca Mikołaja Reja z Nagłowic, Polona, CC-BY-NC.

Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska.
Pewne prawa zastrzeżone na rzecz Muzeum Historii Polski



Tyrolska podróż w czasie



Jeśli lubisz zgłębiać historię odwiedzanych podczas wakacyjnych wędrówek miejsc, a przy tym lubisz wygodę i wypoczynek z dala od zgiełku letnich kurortów, warto pomyśleć o urlopie w jednym z zabytkowych gospodarstw spod znaku Roter Hahn (pol. Czerwony Kogut). Tylko tam będziesz miał gwarancję, że wybrany obiekt jest autentyczny lub wiernie odrestaurowany. Zabytkowe farmy Roter Hahn otrzymują specjalne znaki jakości, potwierdzające spełnienie surowych wymagań.

Historycznych gospodarstw w Południowym Tyrolu nie pozostało już wiele. Te, które do dzisiaj pozostały lub zostały przez swoich właścicieli pieczołowicie odrestaurowane, zachwycają odwiedzających turystów. Tutaj, mieszkając w kilkusetletnich pokojach i apartamentach, można poznać historię Południowego Tyrolu, jednocześnie ciesząc się z dnia dzisiejszego i patrzeć w przyszłość. W zabytkowych gospodarstwach o stuletnich stropach i kunsztownych freskach, w obłożonych boazerią izbach można poczuć atmosferę z czasów przodków dzisiejszych gospodarzy, którzy chętnie pomogą zgłębiać lokalną historię i poznawać wiejską tradycję. Fachowo odnowione zabytkowe gospodarstwa potrafią wprowadzić w zachwyt. Tutaj przyjeżdżają ci, którzy chcą zostawić za sobą codzienność. Czy jesteś gotowy na wakacyjną podróż w czasie?

Aby obiekt otrzymał znak jakości gospodarstwa „historycznego“ musi spełnić surowe wymagania:

- gospodarstwo powinno być zbudowane w typowym, regionalnym stylu i posiadać historyczne elementy tego stylu, np. sklepienia,
- ściany zewnętrzne zabudowań powinny pochodzić co najmniej z XIX wieku lub z jeszcze wcześniejszego okresu,
- nowe budynki lub dobudówki powinny jednoznacznie odróżniać się od budynku historycznego i harmonicznie komponować się z otoczeniem,
- obiekt historyczny powinien być starannie odrestaurowany, a nie całkowicie odnowiony,
- na podłogach nie powinno być dywanów ani wykładzin z tworzyw sztucznych,
- przez cały rok powinny być dostępne świeże owoce i warzywa produkowane w gospodarstwie albo przetwory z nich zrobione,
- gospodarze powinni przywiązywać szczególną wagę do tradycyjnych produktów i potraw,
- kronika gospodarstwa powinna zawierać udokumentowaną jego historię, stare zwyczaje i podania, opisy życia codziennego w gospodarstwie dawniej i dziś

Związek Gospodarzy Południowego Tyrolu Roter Hahn dba, aby ww. kryteria były zawsze zachowane.

Oto niektóre z historycznych farm Roter Hahn:

Ronacherhof – to gospodarstwo należące do rodziny Messner, pochodzi z XII w. Historię czuje się tutaj na każdym kroku. Apartamenty dla turystów zostały urządzone w historycznych piwnicach.

<http://www.rotterhahn.pl/pl/urlop-w-gospodarstwie-agroturystycznym-w-poludniowym-tyrolu/mieszkania-i-pokoje-na-wakacje/urlop-agroturystyczny-detail/ronacherhof-ritten+3183.html#hoftop>

<http://www.ronacherhof.com>

Ansitz Zehentner – Rodzina Schenk zaprasza do swojego gospodarstwa położonego w historycznym centrum wsi Lajen, u bram doliny Grödnertal w Dolomitach. Zabudowania farmy pochodzą z XIII w. Oprócz pokoi i apartamentów urządzonych w zabytkowych wnętrzach gospodarze zapraszają do nowo urządzonego Alpine Wellness z sauną fińską, aromatycznymi kąpielami parowymi i salonami do wypoczynku.

<http://www.rotterhahn.pl/pl/urlop-w-gospodarstwie-agroturystycznym-w-poludniowym-tyrolu/mieszkania-i-pokoje-na-wakacje/urlop-agroturystyczny-detail/ansitz-zehentner-lajen+2899.html>

<http://www.zehentner.it/en/Default.asp>

Edelansitz Zimmerlehen – 800 letnia farma Państwa Kompatscher zaprasza do Völs am Schlern, gdzie nowe i stylowo urządzone apartamenty znajdują się w odrestaurowanych wieżach i w domu Zimmerlehen.

<http://www.roterhahn.pl/pl/urlop-w-gospodarstwie-agroturystycznym-w-poludniowym-tyrolu/mieszkania-i-pokoje-na-wakacje/urlop-agroturystyczny-detail/edelansitz-zimmerlehen-voels-am-schlern+2800.html>

<http://www.zimmerlehen.it/en/>

Ansitz Schloss Gravetsch – to prawdziwy zabytkowy zamek w Villanders. Rodzina Pupp zaprasza do swojego gospodarstwa na wypoczynek przez cały rok. Szczególne polecenia są wspaniałe widoki na Dolomity i historia odczuwalna na każdym kroku.

<http://www.roterhahn.pl/pl/urlop-w-gospodarstwie-agroturystycznym-w-poludniowym-tyrolu/mieszkania-i-pokoje-na-wakacje/urlop-agroturystyczny-detail/ansitz-schloss-gravetsch-villanders+5562.html>

<http://www.schloss-gravetsch.com/bauernhof-urlaub/>

Ansitz Gurtenhof – farma położona w Tisens/ Tesimo koło Meran/ Merano, w budynku z XIV-tego wieku, który mimo upływu czasu nie stracił swojego uroku. Niepowtarzalny budynek wyróżniający się charakterystyczną piwnicą i drewnianym kasetonowym stropem od wieków znajduje się w posiadaniu jednej rodziny Knoll. Na turystów czekają stylowo odrestaurowane apartamenty i nowa alpejska strefa wellnes.

<http://www.roterhahn.pl/pl/urlop-w-gospodarstwie-agroturystycznym-w-poludniowym-tyrolu/mieszkania-i-pokoje-na-wakacje/urlop-agroturystyczny-detail/ansitz-gurtenhof-tisens+3428.html>

<http://www.gurtenhof.com/en/gurtenhof.html>



SZTOLNIA KRÓLOWA LUIZA

**Nowa trasa
turystyczna
w Zabrzu**

**PODZIEMNA
PODRÓŻ
W CZASIE**

Zabrze ul. Wolności 410

www.sztolnia.luiza.pl

Logo: Śląskie, Kopalnia Górnictwo, Kopalnia Górnictwo, Kopalnia Górnictwo

Toyota Land Cruiser FJ45



Toyota Land Cruiser to jeden z tych samochodów, które na dobre zrosły się z krajobrazami półkuli południowej. To kultowe połączenie wołu roboczego na bezdroża i auta klasy premium jest jednym z ulubieńców mieszkańców Australii czy Republiki Południowej Afryki, cenionym szczególnie za trwałość i niezawodność. W RPA znana firma tuningowych zapaleńców zbudowała hotrod oparty na klasycznym FJ40 – być może najbardziej niezwykły Land Cruiser, jaki powstał w bogatej historii tego modelu.

Land Cruiser, którego początki sięgają wczesnych lat 50., doczekał się w swojej długiej historii wielu generacji i

wariantów, w tym kilku kultowych wersji. Do panteonu klasyków, które na dobre zapisały się w historii motoryzacji, należy Land Cruiser J40 – model produkowany aż przez 24 lata.

Firma tuningowa Allers Rods and Customs z RPA pokazała niedawno swoje najnowsze dzieło – prawdopodobnie najbardziej niesamowicie zmodyfikowaną FJ40, jaką widziała ludzkość. Land Cruiser FJ45 to prawdziwa ikona. Firma Allers Rods and Customs wzięła na warsztat biało-beżowy egzemplarz z 1976 roku. Efekt 1200 godzin pracy Andre i Arthura Allersów wygląda jak przyczajona lwica.

Podwozie niemal szura po ziemi, a koła żyją własnym życiem.

„Chcieliśmy stworzyć reprezentatywny przykład południowoafrykańskiej sceny hotrodów. Wszystkie części do tego samochodu są dostępne w RPA, a wiele z nich jest produkowanych lokalnie. Zależało nam, żeby auto było praktyczne, do codziennego użytku, które świetnie się sprawdzi w podróży po kraju” – skomentowali Andre i Arthur. Ten zamysł udało się braciom zrealizować w stu procentach. W ciągu roku od ukończenia projektu samochód przejechał już ponad 10 tys. km.

Na specjalnie opracowanym podwoziu mechanicy zamontowali 300-konny 4-litrowy silnik V8 VVT-i Lexusa (z serii 1UZ) oraz 5-stopniową automatyczną skrzynię biegów także z Lexusa. Nie wszystkie części są produkcji Toyoty – niektóre pochodzą od lokalnych producentów lub z modeli innych marek. Mechanizm różnicowy z Land Rovera Discovery został zmodyfikowany przez

Allersów, zaś zawieszenie opracowali sami. Wzięli półosie z dwóch Discovery i przykręcili je do siebie, tworząc dwa razy dłuższe półosie. Do nich dopasowali koła z Land Rovera z oponami BF Goodrich. Jak widać na zdjęciach zaprzyjaźnionej firmy Chris Wall Media, dało to efekt w postaci samochodu przypominającego auta z początku wieku, czyli klasyczny hot rod. Siedzenia pochodzą z Jeepa Wranglera, radio z Lexusa, a kierownica jest marki Momo.

W RPA Toyota jest potęgą, a Land Cruisery i Hiluxy są tu absolutnymi bestsellerami niemal od zawsze. Uwielbiają je farmerzy i mieszkańcy miast, dlatego bez trudu można znaleźć w Południowej Afryce zarówno wymuskane off-roadowe limuzyny jak i sterane życiem na farmie woły robocze. Warto pamiętać, że w RPA ma swoją siedzibę zespół Toyota Gazoo Racing startujący w Rajdzie Dakar, który co roku zajmuje za kierownicami modyfikowanych Hiluxów czołowe miejsca w najtrudniejszym rajdzie świata.



KUCHNIA POLSKA

tradycja - smak - współczesność

Zachwycająca kombinacja smaku
i tradycyjnej polskiej sztuki kulinarnej



Zapraszamy do Restauracji Ibiza

ul. Główna 100, Ludwikowice Kłodzkie, tel. 746604001